ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 12(85) • Grudzień 2012 • Cena 3,00 zł

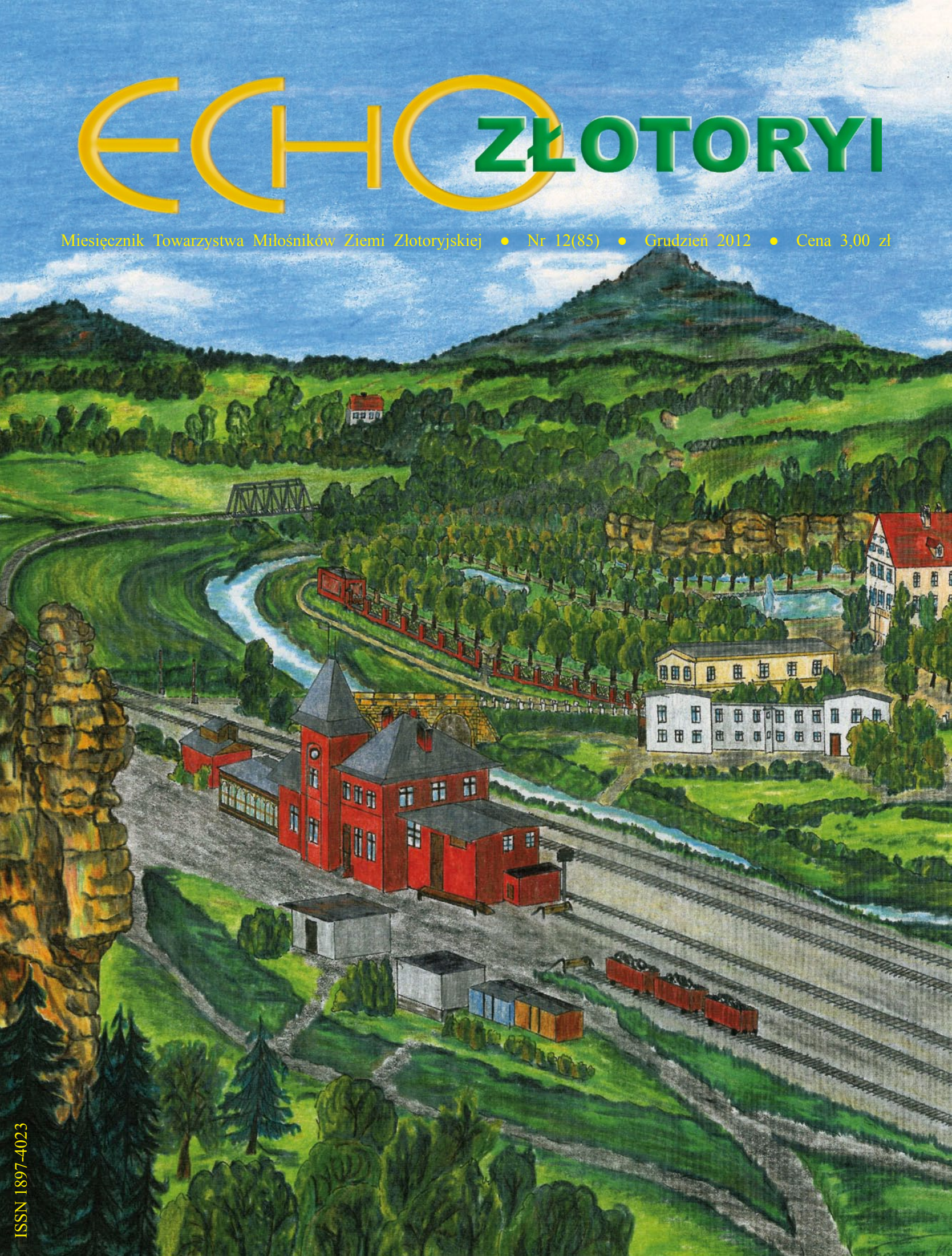

ISSN 1897-4023

W nas

na choince w blasku bombek
– czyjeś roziskrzone oczy,
a w półmisku karp z wytrzeszczem,
mało biedny nie wyskoczy,
pod obrusem – wzdycha sianko,
ciasno mu pod talerzami,
barszczyk zebrał się w koloryt,
pobrązowiał nad grzybami,
w szeleszczących pakuneczkach
– hojność w złotych wstęgach, z duszy,
po kolacji się rozpęta radość,
ależ będzie wzruszeń!
najpierw jednak wyłączymy telewizję, telefony,
doczekamy pierwszej gwiazdy,
może dotrze, kto spóźniony,
byle wszystko nie wystygło,
nie zakrzepło na talerzach,
– wiesz, wybaczmy sobie wszystko.
uszko w barszczu słuch wytęża.
– w sieni słyszę czyjeś kroki
– Bóg się rodzi raz do roku
w nas. odświętny, jak kolęda, choć goluśki
– światło w mroku.

13.12.2012.
J. Zarębska

Szanowni Państwo Czytelnicy!
Życzymy Wam świętowania w pokoju, wśród Bliskich ofiarowujących Wam miłość, pomoc i zrozumienie. Niech Święta znów rozsnują tajemnicę, zapamiętaną z dzieciństwa,
by Betlejem odbyć we własnym sercu i ofiarować je bliźnim.
Życzymy, by każdy dzień Nowego 2013 Roku mobilizował do podejmowania nowych wyzwań i prowadził do pomyślnej ich realizacji.

Redakcja Echa Złotoryi
i Zarząd TMZZ

Non stop na kolei

Andrzej Jankowski - muzeum parowozów w Wolsztynie 2012 r.

Okno stołowego pokoju w mieszkaniu Andrzeja Jankowskiego pokazuje urokliwą bryłę dworca PKP. Jerzmanicka stacja z jej letnią poczekalnią to prawdziwa perełka wśród innych kolejowych budynków ziemi złotoryjskiej. Andrzej patrzy na jej powolne konanie i prosi: *Zróbcie coś z tym, wy, dziennikarze możecie przecież więcej niż ja.* Faktycznie – obraz nędzy i rozpaczy: podcięty filar, dziurawy dach, powybijane okna witrażowe. Nic dziwnego, że człowiek, który od urodzenia związany jest z koleją, z desperacją prosi o pomoc.

Węzeł

Najprawdopodobniej to ojciec Andrzeja, Florian odprawił z jerzmanickiej stacji pierwszy po wojnie pociąg. Był to 1949 rok. W tym roku urodził się też Andrzej. Jerzmanice po wojnie nie wyglądały źle, nosiły nawet ślady dawnej, sanatoryjnej świetności, ale most kolejowy na Kaczawie wymagał remontu, dlatego dopiero 5 lat po zakończeniu działań wojennych wznowiono ruch pociągów. Ten odprawiany przez seniora Jankowskiego jechał do Legnicy.

Stacja Jerzmanice była bardzo ważnym punktem, ponieważ był tu węzeł kolejowy. Odbywał się stąd ruch w kierunku Świeradowa Zdroju, Marciszowa, Legnicy, pociągi jeździły też po kamień do kopalni

Załoga stacji kolejowej PKP Jerzmanice Zdrój w latach 50-tych XX wieku. Florian Jankowski siedzi w drugim rzędzie drugi od lewej.

bazaltu w Krzeniowie, która funkcjonowała jeszcze „za Niemca", ruch był również w stronę kamieniołomu złotoryjskiego (bocznica przy ulicy Kamiennej). Zbudowano także szlak do kopalni Lena w Wilkowie, zresztą do tej pory wciąż eksploatowany. Najpierw była linia Jerzmanice – Wilków, a potem ją przedłużono do zakładu. Jankowski przypomina sobie, że jako jedenastoletnie dziecko jechał z mamą tą trasą pociągiem osobowym. Stacja końcowa wtedy nazywała się Wilków Złotoryjski i znajdowała się nieopodal siedziby straży pożarnej, kawałek od wsi. Tato Andrzeja był tam dyżurnym ruchu.

W latach 60. i 70. ruch w Jerzmanicach był naprawdę imponujący. Andrzej pamięta, że tak naprawdę wszyscy wtedy dojeżdżali do szkół czy pracy taborem PKP. W czasach największej świetności jerzmanickiego węzła pracowało tu 60 osób w systemie trzyzmianowym. Był dyżurny ruchu, służba manewrowa, zwrotniczowie, nastawnicy (kierowali pociągi na właściwe tory). Na takiej stacji wahadłowej jak jerzmanicka potrzebny był też rewident taboru kolejowego, którego zadaniem było pilnowanie sprawności technicznej wychodzących ze stacji pociągów. Kto jeździł koleją, na pewno kojarzy umundurowanego pracownika PKP chodzącego z kawałkiem metalu, którym uderza w koła wagonów – to właśnie rewident.

Na stacji pracowały też kasjerki sprzedające bilety na pociągi osobowe i kasjerki inkasujące pieniądze za przewozy towarowe. Potrzebni byli magazynierzy, których zadaniem było przyjmowanie, zabezpieczenie i nadzorowanie towarów z rozładunku.

Dziś niewiele zostało z tamtych czasów. Prawie całe wyposażenie dworca zostało wywiezione do dyrekcji PKP. Reliktem przeszłości są jedynie semafory kształtowe, czyli takie z poruszającym się ramieniem, obecnie coraz częściej wypierane przez semafory świetlne. Dworzec w Jerzmanicach jeszcze zupełnie nie stracił na znaczeniu. Co prawda ruch pasażerski dawno zamarł, ale zakłady bazaltowe wciąż korzystają z taboru PKP. Jednak o powolnym konaniu dawnego węzła świadczyć mogą liczby. Z 60 niegdyś zatrudnionych osób załoga zredukowana została do 20. W budynku zostały jeszcze pomieszczenia biurowe i pokój dyżurnego ruchu. Na samej górze są mieszkania służbowe. Letnia poczekalnia do niedawna służyła za wiatę parkingową, a obecnie czeka na silniejsze opady śniegu, by akt destrukcji mógł się definitywnie zakończyć.

Drewniana kolejka

Andrzej Jankowski miłość do kolei przyjął wraz z ojcowskimi genami. Na dodatek jako malec dostał od taty drewnianą kolejkę i ...stało się. Kolejka była własnoręcznie zrobiona przez darczyńcę. Drewniany, czarny parowóz ciągnął za sobą drewniane osobowe i towarowe wagoniki pomalowane na zielono. Miał wtedy siedem lat i bawił się kolejką na okrągło, a w przerwach oglądał przez okno parowozy. Bywało, że uciekał mamie, by przyjrzeć się lokomotywom z bliska. Kiedyś znajomy wsadził go do takiej ciuchci i powiedział do maszynisty: *Otwórz mu piec i pokaż, co tam się w środku dzieje.* Zobaczył buchające płomienie, które wywarły na nim niesamowite wrażenie. To pewnie wtedy, nomem omen, zapałał miłością do parowozów. Już nic nie mogło małego Andrzeja powstrzymać przed wizytami na stacji. Kiedyś, pamięta, odbył nawet nielegalną wyprawę parowozem z Jerzmanic do Raciborowic i z powrotem. Maszyniście powiedział, że mama pozwoliła, a tymczasem ona, nieświadoma całej sytuacji, wyrywała włosy z głowy, szukając przez kilka godzin dziecka.

Dom Jankowskich żył koleją, nic dziwnego, że dorastający Andrzej wybrał zawód po ojcu. Była to wówczas modna profesja. Praca czekała na chętnych. Zaraz po skończeniu szkoły kolejarskiej w Legnicy, po przejściu badań psycho-motorycznych, mógł się ubiegać o angaż maszynisty, czyli tym razem legalnie jeździć parowozem. Lokomotywy spalinowe już wtedy powoli wypierały klasyczne ciuchcie, ale Andrzej pamięta, że świeżo upieczeni absolwenci szkoły kolejarskiej z niechęcią podchodzili do tych nowinek. Parowóz to parowóz i tyle!

Życie na stacji

Pod wpływem nammowy ojca Andrzej nie zatrudnił się jako maszynista. Trochę przerażała go perspektywa życia w drodze. Pozostał na stacji. Z okna domu widział przetaczające się pociągi, ruch na dworcu... miał wszystko pod kontrolą nawet wtedy, gdy jadł obiad przy rodzinnym stole.

W wolnych chwilach brał plecak, wsiadał *do pociągu byle jakiego* i ruszał w Polskę. Przemierzył tak kraj wzdłuż i wszerz. Było to o tyle łatwe, że jako pracownik PKP nie płacił za przejazdy, co więcej, miał przy sobie bloczek biletowy i sam sobie wypisywał kwit podróży. Zwiedzanie Polski rozpoczynał od architektury dworcowej. Silne wrażenie wywarł na nim dworzec

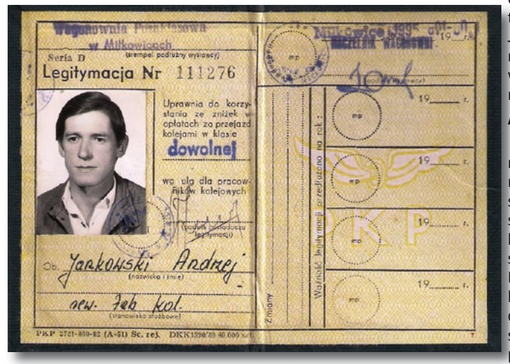

w Gdańsku, niemniejsze - wrocławski.

Jankowski nie został maszynistą, ale wybrał fach rewidenta kolejowego. Pracował tak 28 lat. Jak sam mówi, ten zawód wymagał ciągłego podnoszenia kwalifikacji, bo technika szła do przodu, a on nie mógł zostać w tyle. Nowe wagony, nowe hamulce i wciąż odprawiane ciężkie składy z kamieniem – to powodowało, że trzeba było być czujnym. Każde zaniedbanie

Florian Jankowski (w mundurze kolejarskim) przy Kruczych Skałach w Jerzmanicach ok. 1960 r.

mogło skończyć się katastrofą. A takich nie brakowało mimo ludzkiego wysiłku. Andrzej pamięta, że kiedyś, bodajże w 1993 roku lokomotywa jadąca z kamieniołomu zderzyła się na przejeździe koło Wilkowa z samochodem ciężarowym. Maszynista zdążył wyskoczyć, ale masa żelastwa pozbawiona hamulców wjechała na stację w Jerzmanicach z zawrotną prędkością i wyhamowała dopiero pod Złotoryją na torze uporowym. Kolejarze myśleli tylko o tym, by nikogo nie zabiła na przejeździe. Dwadzieścia lat wcześniej też doszło do wypadku. Załoga pociągu jadącego z Leny, wedle jednej z wersji, wyszła na czereśnie, a wtedy hamulce w lokomotywie same puściły. Pociąg ruszył, wagony się porozczepiały, a lokomotywa nabrała takiego pędu, że na zakręcie wyleciała 5 metrów od toru. Na szczęście nikt nie ucierpiał, bo ....załoga była na czereśniach. Powstał za to duży problem, jak postawić lokomotywę z powrotem na torze.

Kiedy Andrzej pracował jako rewident, przez stację w Jerzmanicach przejeżdżało dziennie 20 pociągów osobowych i kilka towarowych. Jak na tak duży ruch na węźle i tak było bezpiecznie. Jankowski nie przypomina sobie żadnego wypadku śmiertelnego.

Artysta wystąp!

Zanim Jankowski rozpoczął pracę jako rewident, zaraz po skończeniu przez niego szkoły, musiał iść w kamasze. Upomniało się o niego wojsko. Niekoniecznie w smak było zostawiać Andrzejowi cywilne życie, szczególnie teraz, kiedy powoli rozkręcała się jego muzyczna kariera. I znowu wszystko zaczęło się od pociągu, a w zasadzie od spotkanego w pociągu Wieśka Mazura. Co prawda znali się wcześniej, ale wspólne dojazdy do szkoły sprawiły, że zaczęli rozmawiać o muzyce. W pociągu do Legnicy umówili się na pierwsze próby zespołu. Chcieli grać. Po roku wspólnej podróży opracowali cały program. Niedziele przeznaczali na próby albo u Andrzeja w Jerzmanicach, albo u Wiesława w Złotoryi. Do podstawowego składu najpierw dołączył brat Wieśka, Jerzy, a potem perkusista Radoszewski. Grali na trzech gitarach i perkusji.

Był to pierwszy big-bitowy zespół w Złotoryi. Nazwali się Upiory. Nie mieli własnego repertuaru – grali Beatlesów, Rolling Stonsów... Mazur nawet naśladował J. Hendrixa, bo oczywiście mieli gitary elektryczne. W obecnym ZOKiRze, tam, gdzie teraz mieści się hurtownia papiernicza, był lokal, w którym zespół grał środowe fajfy. Nazwa wzięła się od godziny początku imprezy – piątej po południu. Kończyli zwykle około 21.30. Sala zawsze była pełna, nie można było palca wcisnąć. Młodzież szalała na parkiecie przy zagranicznych szlagierach. Kiedy zespół zyskał już sławę, przyszedł czas na zmianę nazwy. Wiesiek Mazur, który uczył się angielskiego (to on śpiewał zagraniczne szlagiery), uznał, że nazwa powinna być bardziej światowa i wymyślił Non Stop. Zgodnie z nazwą grali prawie bez przerwy, bo zamówienia sypały się jak z rękawa. Nieźle na tym zarabiali, ale w 1969 roku o Jankowskim przypomniała sobie ojczyzna i w konsekwencji poszedł do wojska. Zespół musiał sobie jakoś poradzić bez niego, a on bez zespołu.

Swoje artystyczne zainteresowania i talenty postanowił wykorzystać w Łużyckiej Brygadzie WOP w Lubaniu, dokąd go zaciągnięto. Zgłosił się na casting do zespołu muzycznego. Konkurencja była duża, ale jego repertuar spodobał się komisji. Zagrał miedzy innymi *Adagio Cantabile* Niebiesko-Czarnych. Po trzech miesiącach przeniesiono go do orkiestry i tak skończyło się bieganie po poligonie. Praca w orkiestrze nie była ława. Był to zespół estradowy wraz z sekcją dętą. Zespół liczył sobie 14 osób i wszyscy musieli się zgrać. Łącznie z kabaretem. Opiekę mieli profesjonalną. Po trzech miesiącach ciężkiej pracy nad programem *Szli na zachód osadnicy* w 1970 roku zajęli I miejsce na przeglądzie Wojsk Obrony Pogranicza. Od razu poczuli się artystami. Tym bardziej, że zaczęło się ich turnee. Występowali nawet w Warszawie przed Jaruzelskim.

Po wyjściu z wojska Jankowski już nie wrócił do Non Stop, ponieważ koledzy z zespołu znaleźli sobie gitarzystę na jego miejsce.

Andrzej Jankowski 1982 r

Początkowo miał żal, ale potem często ich odwiedzał, gdy grali na dancingach we Wzorcowej. Jednak muzykę zarzucił na długie lata i zajął się pracą na kolei. A w wolnych chwilach - wypadami w Polskę.

Jednoślady

Nie tylko pociągami podróżował Jankowski po świecie. Jego wielką pasją jest jazda motorem. Prawo jazdy zrobił jeszcze w szkole kolejarskiej, ale wtedy mama nie pozwalała na zakup motoru ani na korzystanie z nabytych uprawnień. Chyba po prostu lękała się o syna. Andrzej porzucił na długie lata marzenia do jednośladzie. Dopiero jako emeryt, dwa lata temu kupił sobie motor i ruszył w świat. Pojechał w Alpy włoskie i szwajcarskie. Tam zobaczył to, co go zawsze fascynowało – kolej zębatą. W górzystym terenie pociągi, aby bezpiecznie mogły pokonać różnice wysokości, zabezpieczone są w mechanizm zębaty między kołami lokomotywy. Tor również wyposażony jest w dodatkowa szynę, po której porusza się koło zębate. Widok takiej kolejki wspinającej się po górach, ciągnącej 2000 ton, zapiera dech w piersi. Szczególnie komuś, kto kocha pociągi.

Szwajcarskie, kręte drogi, które utrwalił na zdjęciach, prowadzące na niemal trzytysięczne wzniesienia urzekły nie mniej Jankowskiego niż zębate pociągi. Ten rok przyniósł Andrzejowi kolejne wrażenia. Pojechał do Szwecji, do Malmo, gdzie udało mu się spełnić kolejne marzenie – zobaczyć na własne oczy łódź podwodną, prawdziwego u-boota.

Czasem ze swojej yamahy przesiada się na rower. W 2000 roku pojechał z Jerzmanic do Pudliszek, skąd pochodzi jego ojciec. Jechał 7,5 godziny. Na pomysł wyprawy wpadł, kiedy przypomniał sobie, że jego tato po zakończeniu wojny ze stalagu w gorzowskim do domu w Pudliszkach wrócił właśnie rowerem. Jankowski chciał pokazać, że on też potrafi. Dlatego tam, w Pudliszkach, stanął nad grobem taty, zapalił świeczkę i dumny z siebie powiedział: *przyjechałem rowerem.*

Kiedy ojciec żył, nie mieli ze sobą dobrego kontaktu. Może dlatego, że tato jako były wojskowy trzymał dyscyplinę w domu, rządził twardą ręką i wymagał bezwzględnego posłuszeństwa. Po jego śmierci, jako dojrzały mężczyzna, Jankowski zrozumiał, że tato chciał dobrze. Coraz częściej wertuje i analizuje stare dokumenty. Odkrywa wiele chlubnych faktów z biografii swojego taty. Żałuje, że nie poznał go dobrze za życia. Jest mu wdzięczny. Szczególnie za drewnianą kolejkę, od której wszystko się zaczęło.

Iwona Pawłowska

Czerwcowe popołudnie 1896 roku. Na dworcu kolejowym stacji Hermsdorf Bad słychać gwar, śmiech, a wśród zebranych ludzi- lekkie zamieszanie. Za chwilę podjedzie pociąg z Lowenberg do Liegnitz. Pośród zebranych jest Pani Neumann z Breslau, która od kilku tygodni przebywa na leczeniu w tutejszym uzdrowisku. W asyście swojej pokojówki panny Katharine Tiedemann odprowadza swojego męża i dzieci na ostatni transport, którym mogą dostać się do miejsca swojego zamieszkania. Pani Neumann ubrana jest w strój pozbawiony tiurniury, składają się nań: żakiet, spódnica w kolorze ekri i bladobłękitna koszula ze stójką. Ostatni krzyk mody paryskich żurnali, określany jako ubiór sportowy. Na głowie ma kapelusz wykonany z jasnego jedwabiu, ozdobiony rozetą z atłasowej wstążki. Mąż i dzieci są zachwycone dobrym wyglądem i samopoczuciem Pani Neumann, która przez ostatnie miesiące niedomagała. Zawiadowca stacji Pan Heine instruuje podróżnych o odpowiednim zachowaniu ostrożności. Przypomina, do których wagonów mają wsiadać ci z biletami klasy pierwszej, drugiej i trzeciej. Podjeżdża parowóz, kłęby pary unoszą się pośród podróżnych. Pan Neumann czule żegna się z żoną. Ostanie wymiany spojrzeń. Zawiadowca spogląda na zegarek daje znak do odjazdu. Słychać już tylko trzaśnięcia drzwiami. Pociąg ruszył. Katharine grzecznie zwróciła uwagę swojej pani o powrocie do uzdrowiska. Ta lekkim skinieniem głowy dała pozwolenie na opuszczenie dworca. Obie udały się w kierunku kurortu…

XIX wiek to okres wielu zmian. Takie kwestie jak: życie polityczne, życie codzienne, przemiany obyczajowości, przestępczość, patologie społeczne, modernizacja struktur społecznych i politycznych, wpływ postępu technicznego na życie codzienne człowieka, ewolucja życia społecznego i kulturalnego, przyczyniły się do tego, że ten czas postrzegany jest przez historyków w specyficzny sposób.

To czas, który bardzo często określany jest wiekiem pary. Wraz z wynalezieniem maszyny parowej przez Watta nastąpił rozwój kolejnictwa, a co za tym idzie, począwszy od połowy wieku, turystyki kolejowej. W roku 1829 Goethe pisał: *wielce mnożąca się maszyna dręczy i przeraża mnie; jak burza przetacza się i choć pomału, już obrała kierunek, z którego nadejdzie, aby uderzyć.*

Za początki turystyki można przyjąć czasy starożytnego Rzymu. To tam mieszkańcy podróżowali do kąpielisk min. do Termopil czy kąpieliska Baje. Słynne były również uzdrowiska w innych starożytnych kulturach np. Egipcie czy Babilonii. Jednak dopiero w XIX wieku nastąpił boom tej gałęzi gospodarki.

W XIX stuleciu udostępnione zwiedzającym liczne zamki i pałace były wielkimi atrakcjami, które przyciągały na teren Dolnego Śląska tłumy turystów. Cenione były również dolnośląskie uzdrowiska z pijalniami leczniczych wód oraz zadbanymi parkami zdrojowymi. Piękna przyroda, której symbolem były Karkonosze czy Bory Dolnośląskie, pozwalały oderwać się od miejskiego zgiełku i odetchnąć świeżym, czystym powietrzem. Na Dolnym Śląsku każdy znalazł dla siebie coś ciekawego, bez względu na porę roku. To właśnie dzięki temu nastąpił rozwój turystyki kolejowej w tym regionie Rzeszy Niemieckiej.

Na uwagę zasługuje również fakt, iż w tamtym czasie powstawały liczne towarzystwa turystyczne. Nasz teren objęty był działalnością Riesengebirgsverein (RGV). Towarzystwo zostało założone w lipcu 1880. Jego główny założyciel Teodor Donat był księgowym zakładów tekstylnych w Mysłakowicach. Siedzibą biura organizacji była Jelenia Góra, zaś koła miały siedziby w wielu miastach Rzeszy. Swą działalnością RGV objęło prócz Karkonoszy wszystkie góry otaczające Kotlinę Jeleniogórską, a także częściowo Pogórze Kaczawskie. Ślady działalności organizacji na terenie Gminy Złotoryja możemy odnaleźć po dzień dzisiejszy.

Z chwilą uruchomienia dworca we Wrocławiu, co nastąpiło w roku 1842, zaczęła się rozwijać infrastruktura kolejowa na całym Dolnym Śląsku. W roku 1844 otwarte zostało połączenie Wrocław-Legnica, a w dalszych latach - z innymi miejscowościami i miastami. Złotoryjanie musieli poczekać do 1884 roku na uruchomienie trasy z Legnicą. Uroczyste otwarcie nastąpiło w dniu 14 października. Dwa lata później uruchomiono połączenie ze Lwówkiem Śląskim przez stację w Jerzmanicach Zdrój (Hermsdorf Bad).

Na całym Dolnym Śląsku powstawały wówczas budynki dworców i poczekalni, które możemy podziwiać do dzisiaj. Taki powstał również w Jerzmanicach Zdroju. W tamtym czasie miejscowość cieszyła się popularnością ze względu na istniejące uzdrowisko.

W XIX stuleciu nastąpił właściwy rozwój uzdrowisk. Od połowy wieku rozwijały się też stacje klimatyczne. Pierwszą w Sudetach i chyba nawet w całej Europie było Sokołowsko w Górach Suchych nazywane Śląskim Davos. Wiele uzdrowisk powstawało na wzór słynnego Davos, Baden-Baden czy Spa. Często dochodziło do fałszowania składu źródła w celu ściągnięcia turystów i kuracjuszy. Takim fałszywym uzdrowiskiem, jak się przypuszcza, były Jerzmanice Zdrój.

Na widokówkach i kartach pocztowych możemy podziwiać ciekawą architekturę jerzmanickiego dworca na tle Kruczych Skał. Tego typu dworce posiadały zazwyczaj konstrukcję typu szachulcowego lub wznoszone były z czerwonej cegły. W II Rzeszy ze względu ekonomicznych budynki użyteczności publicznej budowane były głównie z tego drugiego materiału. Śmiało można powiedzieć o stylu dworcowym. Nie było tu konkretnego, wyrobionego nurtu. Raczej dominował eklektyzm.

Utrwalony na wielu pocztówkach budynek dworca posiadał unikatową zabudowę, być może otwartą poczekalnię, być może miejsce, gdzie turyści mogli spożyć wodę z zachowanego do dziś źródełka św. Jadwigi. W ścianach występował szereg kolumn, które zespolone były z filarem. Między nimi występowały duże oszklone okna, po których opadały listki bluszczu wijącego się po całym zabudowaniu dworca. Podziwiając piękno krajobrazu, rozmawiając, śmiejąc się, turyści i kuracjusze czekali na pociąg, odprowadzali bliskich lub udawali się do leżącego nieopodal uzdrowiska. Taka scena rodzajowa zapewne już nigdy się tu nie powtórzy…

Tomasz Szymaniak

Stacja PKP w Jerzmanicach Zdroju jest bardzo malownicza. Praktycznie o każdej porze roku, dnia, przy każdej pogodzie można śmiało tam pojechać i sycić oczy samym obiektem lub jego otoczeniem. Wkraczając na teren stacji, administrowanej przez PKP, należy jednak zachować szczególną ostrożność. Jak zauważył jeden z pracowników, gdy udałem się tam pod koniec listopada, rozpędzony pociąg relacji Krzeniów – Legnica może znienacka zrobić z nas obiekt słaborozpoznawalny nawet przez najbliższą rodzinę. Przy okazji można się dowiedzieć, co to jest np. skrajnia, której próżno szukać na startych do cna, a nieużywanych już peronach. Generalnie na teren stacji chyba nie można wchodzić, choć nie ma jakichś tablic tego zabraniających. Na pewno jednak burzy to spokój pracujących tam ludzi. Chyba też nie wolno przechodzić przez tory (patrz wyżej: rozpędzone pociągi), a także „skakać jak pajac"(?). Stacja sprawia leniwe wrażenie, zwłaszcza jesienną mglistą porą, wygląda na wymarłą. Tymczasem jest to ważny punkt, gdzie odbywa się spedycja tysięcy ton kruszywa z pobliskich kopalni bazaltu. Stacja pracuje i zarabia, a właściciel obiektu nawet ostatnio wyremontował elewację stylowej wieży z nastawnią.

Jeszcze nie tak dawno, bo w 1996 roku, można było np. o godzinie 5:54 wsiąść do pociągu, który nadjechał od strony Legnicy i udać się w nieco ponad godzinną podróż do Marciszowa. Trudno już uwierzyć, że po wojnie można było pojechać z Jerzmanic do Bolesławca (prawdopodobnie z przesiadką w Nowej Wsi Grodziskiej). Gdyby kogoś podczas tej podróży urzekł widok zza okna, nic nie stało na przeszkodzie by na stacji Grodziec Zamczysko wysiadł z pociągu.

To już przeszłość, która powoli zaciera się w ludzkiej pamięci. Niszczeją również materialne elementy, które służyły niegdyś podróżnym. W ruinę popada poczekalnia letnia stacji Jerzmanice Zdrój. Chociaż figuruje w wykazie zabytków dla województwa dolnośląskiego jako „Budynek dworca kolejowego wraz z pawilonem restauracyjnym", od wielu lat nikt o nią nie dba, więc systematycznie popada w ruinę. Przez pewien czas urządzano sobie tam parking dla samochodów, wycinając w tym celu jeden z filarów. Prawdopodobnie wiatr i gałęzie, bo przecież nie ludzie, rozbijają sukcesywnie witraże… Dopóki jednak dach był w miarę cały, była nadzieja, że ta piękna budowla ocaleje. Niestety, będąc tam 28 listopada br. stwierdziłem, że pokaźny kawałek dachu runął. W perspektywie nadchodzącej zimy, przyszłość pawilonu jawi się w czarnych barwach. 3 grudnia redakcja *Echa Złotoryi* wystosowała do pana konserwatora zabytków w Legnicy Zdzisława Kurzei pismo, w którym prosimy o niezwłoczne zajęcie się sprawą letniego pawilonu dworca PKP w Jerzmanicach Zdroju. Do listu dołączyliśmy zdjęcia. Mamy nadzieję, że konserwator jest w stanie wymóc na właścicielu obiektu przynajmniej zabezpieczenie budowli przed jej dalszą degradacją. Mamy nadzieję, że również władze samorządowe Gminy Złotoryja oraz Powiatu będą interweniować w tej sprawie. Jest to ostatni moment, żeby w ogóle myśleć o uratowaniu obiektu. Jest za pięć dwunasta…

Robert Pawłowski

Irytuje mnie, kiedy nazywa się mnie „historykiem". Jeśli mam możliwość natychmiast prostuję i wyjaśniam, iż jestem nauczycielem historii (to różnica). Chętnie zgadzam się na ozdobnik „badacza regionalnego". I jako takiemu, w zakres obowiązków wpisałem sam sobie m.in. obronę tych fragmentów z dziejów Ziemi Złotoryjskiej, których autentyczność nie jest stuprocentowa, może budzić wątpliwości i jest nieraz kontestowana. Nie jest to obrona rejtanowska, lecz nigdy nie powiększam grona cmokających malkontentów i nie zaintonuję jako pierwszy ich protest- songu. Ja po prostu wierzę w prawdziwość pozytywnych wątków niektórych zdarzeń, o których też „co nieco poczytałem".

Niektórzy historycy, szczególnie z dużych środowisk akademickich, zarażeni są wirusem „wielepa" (wie lepiej) i za nic mają, co tam na dole maluczcy wyczyniają i odnotują.

WIERZĘ, że rzeczywiście prawa miejskie Złotoryi - jako Aurum - nadano na zamku w Rokitnicy, już w roku 1211 i Złotoryja słusznie zorganizowała piękne obchody osiemsetlecia tego wiekopomnego wydarzenia. Co więcej, ośmieliłem się podać wysoce prawdopodobną datę tego faktu: 11 kwietnia. A to dlatego, że w 1211 roku para książęca na zamku w Rokitnicy przebywała tylko raz i właśnie w dniu 11 kwietnia. Drugi w tym „magdeburskim rankingu", byłby Wleń (1214) i burmistrz tego miasteczka już dziś sposobi się do tych uroczystości. Lwówek Śląski (1217) nie bardzo chce się godzić na trzecie miejsce na podium i nie brak mu argumentów do obrony roku 1207/8 i zepchnięcia nas z pozycji lidera. Nie podgryzajmy więc samych siebie.

WIERZĘ w słowa inskrypcji wyrytej na piaskowcowym portalu klasztoru franciszkańskiego, zgodnie z którą „Święta Jadwiga w roku 1212 ufundowała" ten klasztor. Dla niektórych badaczy nie do zaakceptowania jest bardzo wczesna data (byłaby ona najwcześniejszą na Śląsku), chociaż wzmiankują o niej dawni złotoryjscy kronikarze. Działo się to przecież rok po nadaniu praw miejskich.

WIERZĘ również, że złotoryjscy kopacze złota brali udział w bitwie pod Legnicą z Mongołami (9 IV 1241). Czy było ich pięciuset? W każdym razie jest to pierwszy piękny przykład, kiedy przybysze z Zachodu osiedleni na ówczesnej Górze Mikołaja (dziś cmentarz) oraz słowiańscy kopacze z Kopacza, razem bronili wspólnego Heimatu- małej ojczyzny, która dopiero co się scalała.

WIERZĘ też, że w zapisie, który pozostawił niezwykle pracowity kronikarz złotoryjski Louis Sturm o zarazie z roku 1553, tkwi prawda. Czy ocalało z niej- tylko? aż? siedmiu. Nazwiska są złotoryjskie i przyjmuję je z dobrodziejstwem inwentarza. Moją wiarę w szczęśliwą „7" od kilku lat próbuję umacniać znalezieniem następców tych siedmiu ocalałych. Na razie skutek jest połowiczny, ale „śledztwo" jest w toku. Namówiony przez Józefa Banaszka przedstawię Czytelnikom sylwetki tych, których udało się dotąd na podstawie rodowych dokumentów- zidentyfikować.

HELMRICH

Nieprzypadkowo zdecydowałem się rozpocząć od tego nazwiska; przemawia za nim zarówno odległa przeszłość, jak i dzień dzisiejszy. Ród ten musiał pojawić się na Śląsku najpóźniej na przełomie XII/XIII w., skoro już w roku 1203 jest wymieniany jako ten, który założył dzisiejszy Dobków (Willa Helmirici, Helmrichesdorf). Na przełomie XV/XVI w. odnotowywany jest już stale w złotoryjskich księgach kościelnych lub miejskich. Helmrichowie aktywnie współtworzą „złoty wiek" (XVI) Złotoryi jako burmistrzowie lub wysocy urzędnicy ratusza. Burmistrz Georg III położył podwaliny pod słynne Gimnazjum Łacińskie, sprowadzając do Złotoryi Valentina Trozendorfa (1523). Z kolei Johannes był tym z burmistrzów, który ratusz po raz pierwszy wybudował w kamieniu (1580). Gottlieb to jeden z tej „7"; na malowidle Petera Beckera widzimy go jako czwartego od lewej (tak uznaliśmy z Herbertem Helmrichem). Burmistrzowie tego rodu są pochowani z rodzinami w podziemiach Wielkiej Wieży Kościoła NNMP; dlatego ten fragment

Pastor Andreas Laengner nad grobem przodków (IV 2012)

wieży od XVI w. nazywano Helmrica domus. Późniejsza rodzina (do II wojny) miała rodzinny grobowiec zaraz po lewej stronie wejścia na cmentarz (obecnie zajęty przez polską rodzinę).

Najwybitniejszy współczesny Helmrich to Herbert. W młodości działacz opozycyjny w byłej NRD, później członek CDU, poseł Bundestagu kilku kadencji. Po zjednoczeniu Niemiec minister sprawiedliwości Meklemburgii. Od 1996 r., przez 15 lat był współprzewodniczącym Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej (do 2011). Z pozycji tego stanowiska bardzo skutecznie wspierał złotoryjskie wnioski o pomoc finansową, dzięki czemu możliwe były: remont i renowacja LO, budowa „zameczku" Nad zalewem (czym byłby zalew bez tego obiektu?), remont i renowacja Schroniska Młodzieżowego, adaptacja strychu DN „Bacalarus" na potrzeby Ośrodka TMZZ, kilka wydawnictw i publikacji TMZZ, stała nagroda dla najmłodszego uczestnika „płuczek". Gdyby ktoś był zdania, że za dużo „tego" Helmricha w Złotoryi, to proszę przeczytać ponownie i spokojnie ostatnie zdanie raz jeszcze i odpowie sobie: Co ja zrobiłem dla mojego miasta?

Herberta Helmricha odkryło i pozyskało dla Złotoryi TMZZ. Za zasługi dla miasta przyjęto go w poczet „Honorowych Członków TMZZ"; to samo uczyniło później PBKZ, a w roku 800-lecia (1211), Rada Miejska na wniosek TMZZ nadała mu tytuł „Honorowego Obywatela Złotoryi".

WILLENBORG/ Willenberg

Na obrazie P. Beckera „pisarza rady miejskiej Willenborga" widzimy jako trzeciego z lewej.

Andreas Laengner, pastor spod Bonn, jest drugim, którego biografia sięga Złotoryi szesnastowiecznej. Analiza rodzinnych dokumentów pozwoliła mu stwierdzić (nie bez obaw): „Jestem potomkiem pisarza rady miejskiej Willenborga". W następstwie tego uwiarygodnienia się, odwiedził wraz z synem, w kwietniu 2012 roku, Heimat swoich przodków i stanął nad ich grobem. Oto co zanotował: „Kiedy przez starą bramę osiągniemy złotoryjski cmentarz, można znaleźć obok grobów polskich, jeszcze także pojedyncze groby niemieckie. Dobrze, że te groby utrzymano. W ten sposób kontynuacja długiej , interesującej i zmiennej w swych losach historii Złotoryi staje się w szczególny sposób wyrazista". Ten bliski sercu Pastora grób należy do jego pra-pra-pra-pradziadków: Johanna Gottlieba Willenberga (1770-1837) i Johanny Elisabeth z domu Eichler (1773-1841). Tenże grób znany jest wszystkim złotoryjanom odwiedzającym nasz cmentarz - prawie wszyscy musimy przejść obok niego. To trzy duże płyty nagrobne naprzeciwko głównego wejścia do Kościoła św. Mikołaja (w odległości 10m od tego grobu znajdował się - zaraz po lewej stronie od wejścia na cmentarz - grobowiec innego zasłużonego rodu - Helmrichów, ten niestety pozwolono zlikwidować i wykupić).

Główny lokator tego miejsca spoczynku był zamożnym człowiekiem, właścicielem fabryki uszlachetniającej sukno w Jerzmanicach Zdroju (obecny Zakład Poprawczy). Okazywał jednak zrozumienie i pomoc biednym i potrzebującym pomocy (informuje o tym także inskrypcja na płycie nagrobnej).

Pastor A. Laengner bardzo trafnie, na podstawie zachowanej dokumentacji familijnej „namierza" posiadłości przodków (np. Vikariengrund), a nawet zabudowania. Jeden z jego przodków, Abraham Laengner (1735-1828), zyskał bardzo wysokie stanowisko społeczne - dziś moglibyśmy go nazwać zastępcą burmistrza, gdyż przewodził mieszkańcom ponad 20 folwarków rozłożonych wokół Złotoryi jako ich „starszy".

Historia czyni nieraz zadziwiające wolty, zataczając czasem krąg, który się domyka. Rodzinę Willenbergów wkomponował w historię miasta Willenborg (duży kłopot stanowią samogłoski: „o", „e"), który był pisarzem rady miejskiej (Ratschreiber). Przedstawiany Andreas Laengner urodził się już poza Ziemią Złotoryjską, w Essen (1958). Po szkole studiował najpierw ekonomię polityczną, a później teologię ewangelicką. Jest żonaty, ma dwoje dzieci. Od roku 1996 jest pastorem. Historyczny Willenborg służył miastu jako pisarz, zaś pastor A. Laengner od roku 2013 też nim będzie, gdyż został wybrany w swoim 40-tysięcznym okręgu kościelnym na stanowisko zwane „Skriba", co znaczy skryba (pisarz).

Nawiązując do „Śpiewów bożonarodzeniowych" konstatuje: „Jestem pod wielkim wrażeniem , że tradycja śpiewów ponownie ożyła w Złotoryi. Pokazuje to dumę dzisiejszych mieszkańców Złotoryi z wielowiekowej historii miasta. W ten sposób sami stają się oni cząstką tej trwającej wieki historii miasta". I o sobie „Spotkać ludzi, którzy dzisiaj żyją w miejscach, które kiedyś były Heimatem moich przodków, napawa mnie radością, ale jest też wewnętrzną potrzebą (...). Muszę zarazem wyrazić moją wielką radość i moje wielkie szczęście, że mogę być przedstawionym w artykule prasowym. Znaczy dla mnie nieskończenie wiele, że starzy Goldbergerzy i obecni złotoryjanie spotykają się we wzajemnym szacunku dla siebie i z sercem przepełnionym duchem pojednania."

WINDECK

Louis Sturm wymienia w kronice Friedricha, a my przydzielimy mu miejsce na obrazie: drugie od lewej. Już w 2002 roku nawiązał z autorem kontakt mieszkaniec Berlina. Przedstawił się jako- uwaga! Friedrich Windeck, mający swoje korzenie w Goldbergu. Wynotowanych z rodowych dokumentów przodków wywodzi od roku 1518, od George; tak w tym czasie pisano na Śląsku imię Georg (pierwszy z Helmrichów także pisał się „George"). Ten pierwszy kontakt z Friedrichem Windeck(iem) z Berlina był zarazem ostatnim - z nieświadomych powodów urwał się. „Potwierdził się" jeszcze tylko w roku 2004 oraz obecnie. Jego krótkie CV byłoby następujące.

Urodził się w roku 1944, w Herford (Westfalia). Studiował i ukończył nauki polityczne oraz historię na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie (1973). Praca zawodowa to służba w Bundeswehrze na różnych stanowiskach (do 2009 r.). Aktualnie poświęca się pracy społecznej w kilku różnych instytucjach.

STEINBERG

Wartością dodaną dotychczasowych poszukiwań może być to, że zarówno A. Laengner, jak i F. Windeck wymieniają wśród swoich przodków nazwisko Steinberg. Byłoby niezwykle interesujące, gdyby wykrycie związków pokrewieństwa doprowadziły nas do naszego Kościoła NNMP, a w nim do niedawno odnowionego nagrobka niezwykle zasłużonego burmistrza Christopha Steinberga. Steinberg z obrazu mógłby być dziadkiem - chyba nie ojcem Christopha (1608-1682).

***

Usiłowania autora, ażeby odnaleźć następców „siedmiu ostatnich mieszczan Złotoryi z roku 1553", ma dla niego nie walor intelektualnej łamigłówki, lecz wartość o charakterze ludzkim. Nie wykracza bowiem poza jego wyobraźnię spotkanie tychże w Złotoryi. Kiedy? Chciałby tego dożyć. Rok 2013 byłby trafną okolicznością i okazją - minie bowiem 460 lat od tego niepowtarzalnego wydarzenia.

WIERZĘ także w tym przypadku, że jednak kiedyś do tego dojdzie - może jeszcze za burmistrzowania Ireneusza Żurawskiego.

Ze świątecznymi i noworocznymi życzeniami.

Alfred Michler

Rodzinna saga

Moja prababcia urodziła się 3 lipca 1924 roku w górniczym mieście Szachty, leżącym na terenie ZSRR. Ojciec prababci zmarł w bardzo młodym wieku. Prababcia opisywała swojego ojca jako człowieka niezwykle wesołego i życzliwego. Zawsze był uśmiechnięty i często robił przeróżne psikusy. Podczas rozmaitych uroczystości był duszą towarzystwa, no i często śpiewał. Mamę z kolei wspominała jako kobietę niezwykle zaradną i pracowitą, która po przedwczesnej śmierci męża dzielnie podjęła trud samodzielnego wychowania czterech córek. Dom utrzymywała z pracy zawodowej – a ponadto handlowała na targowisku. Zmarła krótko przez osiągnięciem 100 lat.

Prababcia miała dzieciństwo, które według obecnych norm można określić jako „normalne". Było ono zupełnie odmienne od dzieciństwa pradziadka, który od najwcześniejszych lat musiał pracować fizycznie, a z braku pieniędzy skończył naukę na szóstej klasie podstawówki. Naukę prababcia rozpoczęła w dziesięcioklasowej szkole podstawowej, którą rozpoczynało się w wieku 6 lat. Swój wolny czas poświęcała nie pracy - a sprawom związanym z modą. Razem z koleżankami przeglądała kolorowe gazety traktujące o trendach i marzyła o wspaniałych kreacjach. Z rozmaitych tkanin w oparciu o wykroje gazet szyła z koleżankami sukienki i garsonki. Kiedy udało im się uszyć coś ciekawego, szły do fotografa – a załączone zdjęcia są tego dowodem. Po ukończeniu szkoły podstawowej prababcia rozpoczęła naukę w Liceum Medycznym, ponieważ chciała w przyszłości zostać lekarzem.

W listopadzie 1941 roku hitlerowskie wojska zajęły Szachty. Ponieważ w Niemczech brakowało rąk do pracy, hitlerowcy organizowali łapanki w celu pozyskania przymusowych robotników. Łapanki były dobrze przemyślane, z fabryk zabierano wykwalifikowanych robotników, z uniwersytetów zabierano naukowców – a ze wsi robotników rolnych. Istniało również zapotrzebowanie na młode dziewczyny ze znajomością języka niemieckiego i przygotowaniem medycznym – miały one dostąpić zaszczytu opieki nad niemieckimi dziećmi, ponieważ kilka milionów niemieckich mężczyzn walczyło na frontach, a ich żony zostały same z dziećmi. Ofiar poszukiwano wśród uczennic szkół medycznych i pielęgniarskich.

Niefortunnie prababcia została pojmana podczas jednej z takich łapanek i została przymusowo wywieziona do Niemiec. W związku z tym zdarzeniem prababcia opowiadała pewną historię. Otóż w Rosji jednym z symboli luksusu były futra. Za pospolite uważano oczywiście kożuchy baranie, nieco wyżej oceniano futra z królików lisów i bobrów, natomiast szczytem luksusu były futra z soboli i norek. Niestety lepsze futra były drogie i babcia nie mogła sobie na nie pozwolić. Natomiast najstarsza siostra miała już wtedy dobrze płatną pracę, kupiła sobie więc takie eleganckie futerko z górnej półki. Młodsze siostry bardzo jej zazdrościły, jednak jak to wśród sióstr zwykle bywa - nie pozwalała ona nawet dotknąć swojego skarbu, a co dopiero przymierzyć. Pokusa była jednak zbyt silna i prababcia postanowiła bez wiedzy siostry pożyczyć sobie to futerko, aby zabłysnąć wśród koleżanek i kolegów w szkole. Pewnego dnia zaczekała więc, aż siostra wyjdzie do pracy i „pożyczyła" sobie wymarzone futro - oczywiście zamierzała je odłożyć na miejsce, zanim siostra wróci z pracy. Pech chciał, że właśnie tego dnia urządzono łapankę. Pierwszą myślą prababci po zatrzymaniu przez Niemców była obawa, że nie zdąży zwrócić pożyczonej rzeczy, bała się, że siostra będzie krzyczeć i się pogniewa – i na pewno więcej niczego jej nie pożyczy. Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie wydarzyło się coś, co miało zmienić jej całe życie. Dopiero jadąc na zachód wojskowym transportem uświadomiła sobie, że swojej rodziny tak szybko nie zobaczy.

Po kilkutygodniowej jeździe pociąg dojechał do serca Niemiec – Frankfurtu nad Menem. Stamtąd przekazano babcię do miejscowości Offenbach - również nad Menem. Podjęła tam opiekę nad czworgiem dzieci wychowywanych przez Niemkę, której mąż walczył na froncie.

Swój pobyt w Niemczech prababcia wspominała raczej pozytywnie. Mówię tu oczywiście o relacjach z ludźmi - a nie o III Rzeszy. Pracując u Niemców nie miała powodów do narzekań. Oczywiście była robotnikiem przymusowym i zarazem obcokrajowcem, jednakże była traktowana podobnie jak niemieccy parobkowie – nie lepiej i nie gorzej. Nie spotkała się tam z nienawiścią czy brutalnością. W żaden sposób nie usprawiedliwia to jednak Niemców.

Prababcia traktowana była podobnie jak Niemcy z niższych szczebli drabiny społecznej. Wymagano od niej ciężkiej pracy, ale zarazem funkcjonowała tam niemalże jak członek rodziny. Miała swój pokój, posiłki jadła razem ze wszystkimi, dysponowała nawet wolnym czasem. Oczywiście nie mogła opuścić swojego pracodawcy lub wyjechać – za to niestety groziło rozstrzelanie.

Jej zadaniem było prowadzenie domu, czyli sprzątanie, pranie, gotowanie i przede wszystkim opieka nad czwórką kilkuletnich dzieci. Wykonanie tych zadań było dość ciężkie, ponieważ Niemka, u której prababcia pracowała, domem nie interesowała się wcale. Zazwyczaj całymi dniami biegała po sąsiadkach na plotki. Cały dom był więc na głowie prababci. Prababcia szybko jednak nauczyła się mówić biegle po niemiecku i wypełniać wszystkie swoje obowiązki. Nauczyła się też żyć w cywilizowanym świecie. Nam wydaje się to dziwne, lecz to właśnie w Niemczech, Polacy, Czesi czy Rosjanie spotykali się z takimi innowacjami jak woda lecąca z kranu, oświetlenie elektryczne, prąd w gniazdku czy toaleta spłukiwana wodą. Prababcia, jako że pochodziła z miasta, w miarę szybko to wszystko opanowała włącznie z obsługą pralki, magla, żelazka elektrycznego czy maszyny do szycia. Szczególnie szycie najbardziej przypadło jej do gustu – zaczęła więc przerabiać ubranka dla dzieci którymi się opiekowała (w miarę jak rosły), szyła też dla sąsiadów. Krótko mówiąc zainteresowanie krawiectwem z dzieciństwa jej się przydało. Nauczyła się również gotować niemieckie potrawy, które były przeważnie z kartofli, kapusty, brukwi i rzepy.

Z tego okresu prababcia przytaczała anegdotę dotyczącą pierogów – potrawy nieznanej w Niemczech. Niemiecka kuchnia oparta jest na ziemniakach, kapuście i mięsie. Podczas wojny mięso i tłuszcze przeznaczano dla żołnierzy walczących na froncie, natomiast ci, którzy pozostali w kraju, musieli zadowolić się kartoflami i resztą warzyw. Taka monotonna dieta jest niezwykle smętna i przykra więc pewnego razu Niemka u której pracowała prababcia zaproponowała jej, żeby dla urozmaicenia zrobiła jakieś danie z jej kuchni. Prababcia po zastanowieniu zrobiła pierogi – danie z pospolitych składników – jednakże wyjątkowo smaczne, sycące i apetyczne. Wszyscy byli pod wrażeniem tej potrawy i odtąd niemalże każdego dnia prababcia musiała pokazywać komuś z okolicznych sąsiadów, jak się je robi. Kto wie – może po dziś dzień są tam gotowane? Po jakimś czasie babcia zaczęła serwować inne specjały: jak naleśniki czy barszcz ukraiński.

Z racji dobrej znajomości języka, prababcia często była też wzywana w charakterze tłumacza na Gestapo lub SS w sytuacjach, kiedy łapano jakiegoś polskiego czy rosyjskiego uciekiniera, lub kogoś, z kim nie mogli się dogadać.

W okolicy miasta Ofenbach było mnóstwo przymusowych robotników różnych narodowości – i Niemcy niekiedy organizowali dla nich potańcówki. Na jednej z nich prababcia poznała pradziadka, który wówczas pracował na gospodarstwie rolnym w jednej z okolicznych wsi.

Pradziadek urodził się 4 maja 1921 roku w miejscowości Sól w powiecie Biłgorajskim jako syn rolnika. Podobnie jak prababci jemu też wojna przerwała edukację i jako pochodzący ze wsi został wywieziony do Niemiec do pracy na wsi u bauera. Jego dzieciństwo nie było jednak tak łatwe jak prababci. Jego ojciec był tak zwanym chłoporobotnikiem, uprawiał niewielki kawałek ziemi, a ponieważ gospodarstwo nie przynosiło zbyt wielkiego dochodu, dorabiał pracą w nadleśnictwie. Spory ciężar pracy na gospodarstwie spoczywał więc na pradziadku i jego bracie, na zabawę nie pozostawało zbyt wiele czasu. Warunki życia nie były łatwe, nie było prądu, wody. Zasadniczo prawda jest taka, że warunki życia ówczesnych mieszkańców wsi przypominały te przedstawione w pierwszej części filmu „Sami Swoi". Drewniane, ogacone gliną chaty, dachy pokryte strzechą, w centralnej części domu stał duży piec chlebowy, który zimą służył również jako miejsce do spania. Życie na wsi było tak ciężkie, że nawet takie rzeczy jak buty zaliczano do luksusów.

Ponieważ gospodarstwo pradziadka zaliczało się do małych, wiadomo było, że tylko jeden z braci je przejmie. Z tego względu dziadek rozglądał się za pracą w mieście. Marzyła mu się praca w niedalekiej Hucie Stalowa Wola. Niestety podobnie jak w przypadku

babci, wojna pokrzyżowała te plany. Niemcy uznali, że pradziadek, jako młodszy z braci, bardziej nadaje się do zasilenia kadry robotników przymusowych.

Krótko po zakończeniu działań wojennych będąc jeszcze w Niemczech pradziadkowie pobrali się, ceremonia odbyła się w wiejskiej świetlicy – ślubu udzielił niemiecki pastor.

Po wojnie pojawiła się kwestia, gdzie się osiedlić, a w szczególności: czy wracać na stare śmieci w strony pradziadka, czy może osiedlić się na ziemiach odzyskanych? Były one doskonale zagospodarowane, zabudowane murowanymi budynkami, zelektryfikowane i oplecione siecią dobrych dróg. Nawet w latach osiemdziesiątych mówiono, że wschodnia Polska nie osiągnęła takiego poziomu rozwoju infrastrukturalnego, w jakim znajdowały się Ziemie Odzyskane w 1945 roku. Z wyborem miejsca osiedlenia babcia zdała się na dziadka, a on z kolei wahał się z decyzją. Ostatecznie przekonali ich znajomi, jako koronnego argumentu użyli kwestii ułatwionego startu życiowego. Na Ziemiach Odzyskanych mogli od ręki dostać po uciekających Niemcach wedle życzenia: gospodarstwo rolne, dom lub mieszkanie. Wszystko oczywiście doskonale zadbane, a mieszkania nawet umeblowane.

Ruszyli więc pociągiem na wschód w poszukiwaniu lepszego jutra. Początkowo zamieszkali w Legnicy. Pradziadka jednak ciągnęło na wieś, a w mieście czuł się obco. Zawsze powtarzał, że wieś jest lepsza od miasta, ponieważ można coś uprawiać, hodować zwierzęta i uniknąć tym sposobem głodu. Jako, że wówczas było to słuszne rozumowanie, zaczęli się rozglądać za domem na wsi. Osiedlili się we wsi Hermsdorf Bad, przemianowanej wkrótce na Jerzmanice-Zdrój.

Spośród dostępnych domów wybrali nr 50. Według relacji prababci we wsi były lepsze, ale dziadek wybrał akurat ten, ponieważ miał stajnię i spory ogród.

Czasy bezpośrednio po zamieszkaniu tutaj dziadkowie wspominali jako niezwykłe i romantyczne – nigdy wcześniej ani później polskie społeczeństwo nie było tak zgrane. Dni były wesołe, pełne radości po wyzwoleniu i nadziei na lepsze jutro. Wszyscy byli optymistycznie nastawieni do życia i bezinteresowni względem siebie. Powszechna była samopomoc i wzajemne wsparcie. Jak ktoś miał krowę – to sąsiadom nie brakowało mleka. Wiejskie społeczności z tamtych czasów można wręcz porównać do rodzin, których członkowie wzajemnie się wspierają.

Jednakże emocje ludzkie zawsze muszą być wyrównane – po okresach euforii zawsze przychodzi depresja. Dlatego też ówczesne noce były straszne ze względu na obawy przed bandami szabrowników i duchami Niemców, którzy niegdyś zamieszkiwali te domy.

Szabrownictwo było wówczas powszechne, gdyż zawsze znajdą się tacy, którzy zamiast pracować, wolą sięgnąć po gotowe. Proceder ten był wówczas stosunkowo łatwy, gdyż nie było telefonów a i milicja nie funkcjonowała jeszcze zbyt dobrze. Pół biedy, kiedy szabrownicy okradali opustoszałe zakłady przemysłowe czy domy, często jednak zajmowali się oni rozbojem, zwłaszcza w celu zdobycia żywności. Byli przy tym bezwzględni i brutalni. Szabrownicy często organizowali się w bandy. W okolicy działała banda Czarnego Janka licząca kilkudziesięciu członków. Siała ona straszny popłoch w okolicznych wsiach a nawet miastach. W Jerzmanicach na szczęście nie odnotowano większych incydentów, lecz strach był zawsze obecny.

Początkowo wszyscy repatrianci czuli się tutaj jak goście – nikt nie miał pewności, czy kolejna dziejowa zawierucha nie rzuci ich na inny koniec Polski czy Europy. Dlatego też nikt niczego nie remontował i nie szanował. Z upływem czasu mieszkańcy coraz bardziej utożsamiali się z tą krainą, lecz dopiero w grudniu 1970 roku kiedy RFN uznał powojenne zachodnie granice Polski, wszyscy poczuli się tutaj jak u siebie.

Pradziadkowie szybko zdobyli uznanie miejscowej społeczności. W pierwszych latach po wojnie ciężko było o pomoc lekarską, a najbliżsi lekarze byli w Legnicy. Prababcia co prawda skończyła tylko kilka klas liceum medycznego – lecz zawsze było to coś, wobec całkowitej niewiedzy w zakresie medycyny. Do czasu, kiedy w Złotoryi otwarto przychodnię lekarską, prababcia, na ile potrafiła, służyła pomocą dla okolicznych mieszkańców, w pierwszym roku odebrała nawet kilka porodów. Dziadkowie znali też język niemiecki i potrafili posługiwać się nowoczesnymi urządzeniami, takimi jak oświetlenie i urządzenia elektryczne, piece kaflowe czy chociażby wodociąg i urządzenia sanitarne. Brzmi to może zaskakująco – ale trzeba pamiętać, że większość ich sąsiadów było repatriantami z kresów wschodnich i dopiero tutaj zetknęli się po raz pierwszy z prądem elektrycznym, wodą w kranie czy toaletą. Pradziadkowie stanowili nieocenioną pomoc w obsłudze tych urządzeń. Po trzecie - obydwoje potrafili czytać i pisać – co nie było wówczas powszechne.

Pradziadek podjął pracę w Powiatowym Zarządzie Dróg, początkowo jako zwykły drożnik, z czasem awansował na kierownicze stanowisko. Pradziadek w mniejszym lub większym stopniu brał udział w budowie niemalże każdej drogi w promieniu kilkunastu kilometrów od Złotoryi. Za swoją pracę na rzecz kraju został odznaczony wieloma odznaczeniami, w tym Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Z kolei prababcia krótko pracowała w sklepie, przy czym do tej pracy została niejako zmuszona ze względu na brak innego kandydata umiejącego pisać, czytać i liczyć. Kiedy tylko znalazł się następca, porzuciła tę pracę i zajęła się domem. Wówczas nieoceniona okazała się jej umiejętność szycia na maszynie. Były to czasy, kiedy nie było niczego – sklepy odzieżowe nie istniały. Z tego względu prababcia na skalę niemalże przemysłową przerabiała ubrania poniemieckie na polski fason, szyła również ubrania z pozostawionych przez Niemców tkanin. Co ciekawe, osiągała z tego dochody niekiedy większe niż pradziadek z państwowej pracy. Ponadto dziadkowie uprawiali ziemię i hodowali różne zwierzęta, przede wszystkim kury, krowy i świnie. Kiedy pradziadek przeszedł na emeryturę, zajęli się uprawą plantacji truskawek.

Patrycja Kwiatkowska

Wojenna wigilia

Nazywam się Helena Roztoczańska. Skończyłam 79 lat, od 24 lat jestem na emeryturze. W tym czasie byłam ławnikiem i kuratorem sądowym, ale od choroby i śmierci męża przestałam pracować społecznie.

Od 1960 roku piszę pamiętnik swego życia. Czasem go czytam i dziś się popłakałam, przypominając sobie przeżycia półsieroty z okresu okupacji. Postanowiłam do Was napisać.

W 1948 ukończyłam szkołę podstawową, ale nie mogłam iść do szkoły średniej, bo do miasta było około 30 kilometrów, a mamusi nie było stać na opłacenie internatu. Mój ojciec zmarł w 1936 r. Był inwalidą I wojny światowej. Osierocił pięcioro dzieci: moich dwóch braci i nas, trzy córki. Byłam najmłodsza z rodzeństwa. Siostra Matylda miała 12 lat, Teresa - 8, bracia: Stanisław -14 , Kazimierz - 10, a ja byłam trzyletnim dzieckiem.

Po śmierci ojca Stanisław i Matylda poszli na służbę. Kiedy zaczęła się wojna, Matyldę wywieziono do Niemiec. Stanisław, który służył jako parobek u księdza w naszej parafii, został wysłany na front wschodni z zaprzęgiem konnym. Wtedy Kazimierz poszedł służyć na jego miejsce.

Po wojnie Matylda osiedliła się w Bystrzycy Kłodzkiej i zabrała mnie do siebie. Tu znalazła mi pracę - opiekę nad dziećmi. Długo to nie trwało, bo szwagier dowiedział się o szkole TPD we Wrocławiu i od stycznia 1950 r. zostałam uczennicą szkoły średniej i

zamieszkałam w internacie TPD przy ul. Buczka 11. W 1952 skończyłam Liceum Wychowawców Przedszkoli i dostałam pracę w przedszkolu. Tu zdobyłam kwalifikacje zawodowe (SN i WSP). Przepracowałam 38 lat. W 1954 wyszłam za mąż. Urodziłam troje dzieci. Przeżyłam z mężem 52 lata.

Czytając swój pamiętnik, zastanawiałam się, dlaczego nie pamiętam żadnej innej wieczerzy wigilijnej, tylko tę jedną. Opuściłam dom rodzinny mając 15 lat, pochodzę z rodziny katolickiej i tych wspomnień powinno być kilka. Teraz mieszkam sama. Dzieci założyły rodziny w kraju i za granicą. Bogu dzięki, że zdrowie mi dopisuje. Ale czasem czuję się bardzo samotna i marzę, by być z dziećmi. Teraz, kiedy zbliżają się święta i dużo się mówi w radiu o wspólnej wieczerzy, postanowiłam tę jedną, zapamiętaną z dzieciństwa, opisać. Będę ją pamiętać do końca życia:

Jest 24 grudnia 1942 r., zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Za oknem - sroga zima. Siostra Teresa jest u ciotki w Okocimiu, brat Kazik na służbie, a ja z mamusią - sama. Brat Staś nie wrócił z frontu wschodniego. Do domu dochodziły różne, sprzeczne informacje o nim. Raz mówiono, że zginął, innym razem, że wróci,

o co obie się modliłyśmy.

Kazik rano przyniósł nam drewno do palenia (las był blisko) i małe świerkowe drzewko a w kieszeni kilka orzechów i cukierków, które dostał od księdza, który wiedział, że u nas jest wielka bieda. Drzewko przystroiłam łańcuchami i zabawkami papierowymi, które wykonałam samodzielnie. O prezentach nawet nie miałam pojęcia. W tych ciężkich czasach, myślałyśmy tylko, by brat Stasio wrócił do nas. To było nasze marzenie.

W wigilię mamusia zabiła kurę i na podrobach ugotowała kaszę. Resztę mięsa zostawiła na dalsze święta i Nowy Rok 1943. Zjadłyśmy z mamusią po całym opłatku, życząc sobie, by ta straszna wojna się skończyła i żeby Stasio wrócił. Później pobiegłam z kolędą do stryjków mieszkających w sąsiedztwie. Poczęstowali mnie ciastem. Z kuzynką śpiewałyśmy kolędy, a potem wysłuchałyśmy opowieści stryjka, który był z moim ojcem na wojnie w 1918. Obaj jadali wtedy tylko brukiew i pili wodę ze śniegu, a przeżyli. *My też przeżyjemy* - puentował stryj.

Mamusia nie poszła ze mną. Mówiła, że będzie się modlić. Przez cały dzień była smutna, stale wyglądała przez okno i wycierała rękawem oczy. Kiedy wróciłam do domu, siedziała przy piecu. Zaśpiewałyśmy sobie kolędy, bo wtedy Pasterki nie było w nocy, tylko rano.

Nie miałyśmy psa, tylko kot wylegiwał się na łóżku. My też poszłyśmy spać. Noc była bardzo mroźna. Księżyc i gwiazdy rozświecały naszą kuchnię. Zasnęłam, mamusia na pewno nie. Nad ranem obudziło mnie pukanie do okna i słowa: *Mamusiu otwórzcie, to ja - Staszek*.

Mamusia słysząc go, myślała, że to jego duch, a ja zerwałam się i pobiegłam otworzyć drzwi. To był nasz ukochany Stasio. Zaczęliśmy się ściskać, całować i płakać ze szczęścia.

Mamusia dołożyła suchych drewek do ognia. Włożyła do garnka resztę kury i uroczyste śniadanie zjedliśmy z bratem. Co jedliśmy w pozostałe dni, nie pamiętam. Wiem, że otrzymałyśmy wymodlony prezent pod choinkę.

Teraz dzieci mają inne marzenia. Dobrze, że nie przeżywają takich strasznych dni w biedzie, jaką ja miałam. Los dla mnie był łaskawy. Miałam wtedy 10 lat, a pisząc te wspomnienia - wyobrażam sobie każdy szczegół tego wieczoru i nocy.

Teraz, kiedy jestem w podeszłym wieku, nadal pragnę podobnych prezentów dotyczących mojej rodziny. Marzę, by się zawsze spełniały.

Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia przesyłam wszystkim serdeczne życzenia: zdrowia, długich lat życia i spełnienia najskrytszych marzeń.

Helena Roztoczańska, red. Iwona Pawłowska

Chochlik

Podczas gali Złotego Dyktanda redaktorki Gazety Wyborczej opowiadały o błędach i chochlikach w pracy dziennikarskiej. Słuchałem tego z zapartym tchem, bowiem jak widać to co miesiąc, nasze *Echo* stale jest celem ataku całego mnóstwa chochlików, a i redaktorom zdarzają się mniej lub bardziej spektakularne błędy. Tu muszę się uderzyć w piersi, bowiem autorem najbardziej spektakularnych, najbardziej widocznych, najgłupszych i jeszcze parę „naj" jest niżej podpisany. Gdy odbieram nowy numer z drukarni, z duszą na ramieniu otwieram egzemplarz i szukam błędów. Gorzej, gdy błąd krzyczy z pierwszej strony. Kiedyś udało mi się np. pomylić rok wydania. Są błędy wynikające z roztargnienia i niewiedzy. Są też błędy, które nie dają się w żaden sposób wytłumaczyć. Choćby ten z ostatniego numeru gdy panią Annę Markiewicz, którą przecież doskonale znam, w tekście o swoich perypetiach ortograficznych, zamieniłem na Annę Markowską. Jeszcze raz uderzam się w pierś. Oj, zabolało! I przepraszam najmocniej. Najgorsze w tym wszystkim jest, że można sprawdzać tysiąc razy i jakiś błąd zawsze się przemknie.

Robert Pawłowski

Zabawy naszych rodziców

Czasami trudno nam sobie wyobrazić naszych rodziców jako zdobywców na dziecięcych szlakach przygody, członków podwórkowych „band”, szkolnych prymusów i nieokrzesanych łobuzów, ulubieńców lub wieczne zmartwienie nauczycieli. Zastanawiamy się, jak mogli spędzać czas po szkole i natychmiast współczujemy – bo jakież nudne musiało być życie dziecka w świecie bez telewizora, Internetu i gier komputerowych. Nic nie mówią nam nazwy „cymbergaj”, „chłop”, „patyk”, „podchody”, „rafka”.

Ale nasi rodzice wcale nie przejmują się naszym współczuciem. Wręcz przeciwnie – mówią, że wiele by dali, byśmy mogli choć w części zasmakować ich powojennego dziecięcego świata.

Jak i w co bawili się nasi rodzice? Dlaczego przestało „smakować” takie dzieciństwo wypełnione bezpośrednim, wolnym od pośrednictwa techniki, poznawaniem świata, zaczynającym się od odkrywania tajemnic najbliższego otoczenia i kawałek po kawałku odsłaniania niedostępnego dzieciom świata dorosłych? Może dlatego, że dzisiaj tłamsimy ciekawość nadopiekuńczością, wyręczaniem, nie pozwalamy się zmęczyć, nie daj Boże spocić. A może jeszcze inaczej - za wcześnie przygniatamy „przyległościami” dorosłości (odkrywamy świat alkowy, używek, zachęcamy do nieuczciwej rywalizacji już na etapie „przedszkolnych ubranek”) lub dla naszej wygody sadzamy dzieci przed komputerem lub telewizorem na długie godziny?

Jak zapamiętali swoje dzieciństwo przypadające na pierwszą dekadę powojennej nasi rodzice, dla niektórych już dziadkowie?

Przede wszystkim liczył się udział w podwórkowym życiu. Podwórkowa „banda” nie zaglądała w metrykę – tak samo liczył się pięciolatek, jak siedemnastolatek, choć oczywiście hierarchia ze względu na wiek była dla wszystkich oczywista i niepodważalna. Rządzili najstarsi i to z nimi negocjowało się dostęp do podwórkowych tajemnic i wypraw. Nie istniały osiedlowe place zabaw, takie należało sobie stworzyć samemu. Huśtawki z opon na wysokich akacjach, rozrysowane patykiem granice boiska do gry w „dwa ognie”, przyniesione z domu zabawki – najczęściej dzieło pomysłowych rodziców - obręcz koła od roweru, klekoczące motyle na kółkach, lalki uszyte z ubraniowych resztek (im bardziej odbiegające od długorzęsych sklepowych piękności, tym kochańsze) czy hula-hoop z drutu zbrojeniowego, którym mała Danusia L. kręciła mimo sińców i obrzęków wokół talii i nóg. Podwórkowa brać z okolic cmentarza chętnie bawiła się na placu, dzisiaj zastawionym garażami, obok nieistniejącego już budynku przy ul. Morcinka, w którym poprzednio mieściła się siedziba Hitlerjugend. Tam grało się, jak w wielu innych miejscach w **cymbergaja, „ścianką” czy „murek”** – uderzając monetami o ścianę budynku, a potem przesuwając je po ziemi, w **chłopa** – odmiana gry w klasy, w **palanta** czy **chowanego**. Tam też rozbawione towarzystwo bujało się na sznurkowych huśtawkach (choć jeden z kolegów okupił tę przyjemność upadkiem i długim leczeniem połamanych nóg). Także tam odbywała się selekcja do gry w **dwa ognie** – kapitanowie wybierali najlepszych graczy, a każdy od małego do najstarszego dawał z siebie wszystko, i chociaż czasami po uderzeniu piłką w klatkę piersiową dudniło niczym w tunelu, i trudno było utrzymać się na nogach – nikt się nie uskarżał. Kolejność wybierania graczy była wyróżnieniem - świadczyła o umiejętnościach gracza i przydatności do gry, nikt przecież nie chciał grać z „patałachami”. Tam wreszcie chłopcy wywijali sinusoidy rafką - obręczą rowerową lub pochodzącą ze starych dziecięcych wózków, obracaną na specjalnie wyprofilowanym pręcie, uczestnicząc w zawodach „kto szybciej i kto dłużej”. Dzisiaj mówią o „przejechanych” w ten sposób setkach kilometrów. Na wybetonowanym kawałku przestrzeni dziewczynki grały w klasy, chłopcy przeglądali swoje kolekcje ołowianych żołnierzyków, fotografii aktorów, owadów czy etykiet z pudełek po zapałkach - wymieniali się wedle upodobań i braków w prywatnym zbiorze. „Zdobywali” maszt (słup ćwiczeniowy), na którym popisy zręcznościowe urządzali sobie również dorośli mężczyźni.

Górzysty teren okolicy był idealny na zjazdowe wyścigi na wózkach-”gocartach”, które sami, bądź z pomocą dorosłych, wykonywali przerabiając stare wózki dziecięce. Po demontażu zostawały koła z ramą, na której kładło się deskę, a na niej ułożeni na brzuchu zawodnicy, rozpędzali się rękoma o ziemię i puszczali w dół spod bram cmentarza aż do początku ulicy Stromej. Przeszkodą mógł być jedynie pieszy, ale ten szybko uciekał na chodnik, widząc rozpędzone nietypowe pojazdy i rozbrykane dzieciaki, które ani myślały ustąpić drogi, ani zwolnić w najlepszym momencie zjazdu. Liczył się czas i wygrana.

Innym miejscem igraszek była „łąka Terembuły”. Sielanka rozpoczynała się od owoców – niczym szpaki oblepiali dziko rosnące na skarpie czereśnie, potem zajmowali całą zieloną przestrzeń - dziewczynki plotły wianki, wcielały się w księżniczki i dwórki, chłopcy zajęci byli sportowymi wyczynami albo organizowali się w orkiestrę za instrumenty mając jedynie łodygę mleczu i gałązkę brzozy, które przerabiali na fujarko-flety. Zabawa kończyła się turlaniem po skarpie aż do otwartej przestrzeni nad kopalnią złota. Opatrzność czuwała nad tymi dzieciakami, bo nigdy żadne nie spadło ze skały. A kiedy nadchodził rozgniewany właściciel, zrywali się niczym stado wróbli w popłochu i pędzili co sił w nogach do pola Kwapińskiego, by złapać ostry zakręt w lewo i zniknąć w polu kukurydzianym nad Kaczawą. I chociaż słyszeli złorzeczenia starszego pana, nie czuli się winni - natychmiast mobilizowali siły do następnej zabawy. Ucieczka stawała się okazją do urządzenia kolejnych zawodów – kto pierwszy dobiegnie do...

Do turlania służyła także skarpa powyżej młyna Postrożnych. Tam właśnie mała Danusia zaprezentowała koleżankom swoją „pierwszokomunijną” sukienkę, w której miała wystąpić następnego dnia. Widok turlającego się koleżeństwa był tak kuszący, że Danusia, zapominając o bieli, puściła się w dół wokół własnej osi – czuła się czysta, wyspowiadana, lekka, leciała niczym anioł ku brzegowi Młynówki. Niestety, mama tej szczęśliwej dziewczynki nie podzieliła jej radości, wypowiedziała kilka przykrych słów i noc poświęciła na przywrócenie sukni odświętnego charakteru i „niewinnej” bieli.

Przepędzani z łąki przenosili się nad rzekę - tam brodzili po mieliźnie przechodząc z jednego brzegu na drugi, „na głębokim” uczyli się pływać, ,,puszczali kaczki”, albo na bosaka biegali po hałdach miału fabrycznego. W rzece pluskali się, ale mieli także swoje „pojazdy wodne” - w dzisiejszych czasach byliby zwycięzcami w zjeździe na „byle czym”. Za materac służył kawałek grubego konara, a jeśli udało się znaleźć – to i stara wanna. Umiejętności pływackie szlifowali pod okiem instruktora-ratownika Karwaja (do jego wyjazdu do Australii) na basenie, na który wchodzili przez dziurę w płocie, oszczędzając w ten sposób złotówkę na wstępie, za którą w środku kupowali loda. Z basenu robiło się wypady na Górkę Mieszczańską czy w okolice przejazdu kolejowego na skoki „na glinę” i najsłodsze w okolicy czereśnie-dziczki. Czasami ferajna zaglądała „na Kukułkę” (obecna strzelnica), by podglądać młodzież podczas sobotnich zabaw. W pamięci zachował się występ licealistki Czesi N. Bywało, że podwórkowa ekipa udawała się w przeciwnym kierunku, w okolice dzisiejszej ulicy Letniej – wówczas były tu mokradła i staw z gęstym sitowiem. Za nim pole kukurydzy – idealne miejsce do zabawy w chowanego.

Zimą chodzili na „Górę Greniuka” – obszar czterech bloków w miejscu dzisiejszej ulicy Wojska Polskiego i działek; była to świetna i dość stroma pochyłość, na której można było oddać się zimowemu szaleństwu. Zjazd kończył się w ogrodzie szpitalnym – aż dziw, że nikt nie rozbił głowy. Zjeżdżało się na butach, sankach, łyżwach i znów na „byle czym”. A kiedy trzeba było trzymać się bliżej domu – nie gorsza była oblodzona „góra filcowa” na Stromej. Tu „byle czym” mogła być, jak latem w rzece – stara porzucona wanna albo przerdzewiały garnek. Trzeba było mieć oczy dookoła głowy, towarzysze zabawy zapominali o takcie i w każdej chwili mocne plaśnięcie w plecy mogło rozpocząć drugiemu niebezpieczny zjazd. Mały wówczas Witek do dziś pamięta, jak Lutek Sz. okupił brawurowy zjazd kąpielą w Młynówce. Zanim w asyście dotarł do domu, zamienił się w chodzącą rzeźbę lodową. Wspomnienie tamtych chwil jeszcze dzisiaj wywołuje śmiech. Całkiem niechcący „morsem” została również Ela S. - zdołała uchronić tylko głowę przed zamoczeniem. Pomimo srogich zim, byle jakich tkanin ubraniowych, przemoczonych czapek i rękawiczek, dzieci rzadko chorowały. Widać ruch na świeżym powietrzu, bez względu na porę roku, był wzmacniający. A ruch hartował nie tylko organizmy, ale też charaktery.

Łyżwy to odrębny temat! Występowały w różnych wariantach – poniemieckie i domowe rękodzieło. Bywało, że stworzone na jeden sezon: śniegówki z prostym ostrzem i „lodówki” - zakończone ściętym czubkiem z rzeźbionymi ząbkami – idealne do brykania na lodzie. Łyżwy mocowało się klamerkami do podeszew lub owijało paskami dokoła filcowych butów - czasami tylko do jednego, bo druga łyżwa trafiała na nogę kolegi. Jazdę rozpoczynało się na ząbkach, kilka kroków dla rozpędu, który miał zapewnić długi ślizg - niestety, nierzadko na tym etapie kończyła się jazda, bo klamry łyżwy wyrywały podeszwy od cholewek i zostawały w tyle za zawodnikiem. Oczywiście kto widział, pokładał się ze śmiechu, ale dla łyżwiarza była to wielka strata – buty, choć niewielką miały wartość materialną, były wówczas towarem deficytowym. Podobne straty przynosiła jazda na nartach.

Nie było kasków, ochraniaczy na stawy – były przemoczone rękawiczki, sztywne palta, za długie spodnie, niewygodne spódniczki. Ubrania często przemakały i natychmiast zamarzały, a mimo to nikt nie wyobrażał sobie, że mógłby w tej frajdzie nie uczestniczyć lub z powodu mokrego ubrania przerwać zabawę i pójść do domu. Górka i białe szaleństwo, a w lecie harce nad rzeką, łączyły zwaśnione podwórkowe bandy, toczące regularne wojny „na ulice”. Zawierano

porozumienie i nie liczyła się „lepszość” tej czy innej ulicy! Chwilowo, bo gdy ktoś ponownie odkopał topór wojenny - w powietrzu latały kamienie i z hukiem odbijały się od wielkich emaliowanych lub cynkowych pokrywek domowych kotłów, w których matki wojowników gotowały bieliznę.

Okolice Stromej atrakcyjne były jeszcze z jednego powodu. Tu znajdowało się wejście do zakazanego podziemnego tunelu. Odkrywanie podziemnych szlaków było specjalnością starszych kolegów. Dziś 60. letni mężczyźni, na samo wspomnienie o chłopięcych przygodach ożywiają się, a w oczach ponownie pojawia się ten charakterystyczny dziecięcy figiel, zdradzający grzeszki łączenia zabawy z ekstremą.

Dla chłopców świat podziemnych tuneli i wykopów był zabawowym rajem, choć trzeba przyznać, że wyjątkowo niebezpiecznym. Zbyszek M., Bolek i Witek L., Zbyszek i Kazik K., Zbyszek G. mieli od 6 do 12 lat, gdy przemierzali korytarze i tajemne przejścia, o których inni tylko słyszeli. Ich rówieśnicy z Grodźca i Nowego Kościoła mieli swoje „podziemia” do penetrowania. Gdy w przyszłości przyjdzie im spotkać się na terenie złotoryjskich zakładów pracy, kopalni, urzędów – w nieskończoność będą snuli wspomnienia o odkrywanych podziemnych światach i towarzyszącej temu ekscytacji. Ten wczesno-męski świat rzadko był dostępny dziewczynkom. Zaszczytu dostąpiła mała Danusia, którą starszy brat Bolek zabrał raz na „zwiedzanie”.

Inna „tajemnica” miała swój początek przy zakładach obuwia, ciągnęła się przez wąski korytarz, prowadzący do pomieszczenia wysokiego na dwa i długiego na 8 metrów i zwężeniem kończyła się przy budynku poczty. Po lewej stronie znajdował się wylot, do którego można było dojść już na czworakach, by ostatecznie przecisnąć się z trudem na zewnątrz. W tym miejscu zrodził się nowy pomysł na zabawę, będącą igraniem z ludzką chciwością – chłopcy wyrzucali na zewnątrz portfel, który w miarę zbliżania się ręki chętnej do podniesienia czyjejś zguby, przesuwał się na nitce w głąb kanału i tam znikał. Któż by wymyślił, że w kanale siedzi grupka rozbawionych figlarzy?! Zdezorientowani niedoszli szczęśliwcy rozglądali się wokół jakby w nadziei, że znalezisko wróci i oni przejmą jego zawartość.

Pierwszej wizycie w podziemiach towarzyszyły szczególne emocje, nie tylko dlatego, że była to wyprawa w nieznane, rozpoznawanie terenu zanim powstała na nim noga dorosłego, ale również z tego powodu, że w największym, obetonowanym ze wszystkich stron pomieszczeniu, zgromadzone były duże ilości koców, kołder, garnków, zapasy wody pitnej i żywności w puszkach. Wszystko, co się tam znajdowało, zapewne służyć miało niemieckim mieszkańcom w ukryciu się i przeżyciu na wypadek wichury wojennej, która przez większą część wojny nie niepokoiła mieszkańców w inny sposób niż zmniejszone racje żywnościowe i opieka nad rannymi żołnierzami, zorganizowana w budynku dzisiejszej SP nr 1. Być może rzeczy zgromadzono dopiero pod koniec wojny na wieść o rozmiarach zniszczeń i dramatach, jakie nieśli ze sobą radzieccy „wyzwoliciele”.

Mały Bolek nie przyznał się w domu ojcu, gdzie bawił się tego dnia, wiedząc, że za „działalność odkrywczą” czeka go lanie. Inaczej niż koledzy, którzy opowiedzieli swoim rodzicom o znalezisku. Faktem jest, że na drugi dzień nie wszyscy mali odkrywcy zdziwieni byli zniknięciem wszystkich złożonych pod ziemią rzeczy. Zostały jedynie drewniane kratki, po których chodziło się, gdy deszczówka, kierująca się w stronę rzeki, zalewała podłogę. W ciągu jednej nocy wyniesiono wszystkie dobra wypełniające wielkie pomieszczenie niemal po sufit. Wynosząc owe zdobycze w środku nocy z pewnością zachwalano zapobiegliwych Niemców, którzy wyposażyli pomieszczenie w elektrykę i ułatwili w ten sposób sprawny szaber.

Z czasem trafiło się nowe znalezisko. W pomieszczeniach piwnicznych poczty młodzi odkrywcy znaleźli magazyn masek przeciwgazowych. Zabawa w wojskowe manewry, zakładanie masek i ściąganie na rozkaz pozwalało na chwilę wcielić się w prawdziwego wojaka i urzeczywistnić niezrozumiałe chłopięce marzenie o udziale w wojnie.

Innym miejscem zabaw młodych globtroterów były ruiny w ogrodzie koło willi dawnego właściciela fabryki kapeluszy (budynek, w którym powstało przedszkole ZZO). Dziesięcioletni Zbyszek i towarzyszący mu koledzy z sąsiedztwa dokopali się do pomieszczeń piwnicznych ogrodowej ruiny. Ich uwagę zwróciła rura zakończona wielkim zaworem, który zapragnęli przywłaszczyć. Próby odcięcia i obstukania nie przyniosły efektu oderwania, za to pozwoliły odkryć, że rurą płynie gaz. Ktoś wpadł na pomysł, żeby urządzić klubokawiarnię. Zbyszek pędem pobiegł do domu po zapałki, odkrywcy mieli napić się pysznej herbatki. Zabawa skończyła się wybuchem i poważnymi oparzeniami. Zbyszek niczym żywa pochodnia pobiegł do rzeki i rzucił się w wodę, koledzy uciekli z miejsca zdarzenia. Mama na widok syna zemdlała, skóra płatami schodziła z twarzy, a ręce pokrywały pęcherze. Zimną krew zachowała babcia, dzięki kresowej „szkole przetrwania” - zorganizowała transport do szpitala. Zbyszek „wylizał się” z oparzeń, ale nie była to jego ani pierwsza, ani też ostatnia niebezpieczna dziecięca przygoda. Chłopcy szybko zapominali o odniesionych ranach, gdy w grę wchodziło zgłębianie kolejnych tajemnic starych ruin. Zawsze liczyło się na jakieś ciekawe znalezisko, nie tylko w postaci okazałych kamieni, patyków, które mogły posłużyć do kolejnych zabaw czy żeliwo, które można było spieniężyć w skupie, ale także prawdziwe skarby w postaci mleczno-koniakowych brył bursztynu (zapewne z naszyjnika bogatej mieszkanki willi przy obecnej ulicy Chrobrego) czy komplet srebrnych grawerowanych sztućców ukrytych pod głazem.

W poszukiwaniu nowych terenów do zdobycia młodzi chłopcy zaszli aż na cmentarz. Trzy poziomy grobów, fotografie-porcelanki, efektowne tablice z płaskorzeźbami, niemal każda mogiła otoczona płotkiem „z dzidami”. Było co podziwiać, wyciągać, było czego się bać - choć nie na wszystkich strach działał paraliżująco. Panującą tu melancholię wcale nierzadko przełamywały salwy dziewczęcego pisku i chłopięcego śmiechu – efekt zabawy w straszenie duchami. Przez cmentarz wiodła droga na skróty na pobliski basen. Danusia biegła ten odcinek z zamkniętymi ze strachu oczami, ale jak kot wyczulona na każdy dźwięk. Lęk wywoływał szelest suchych liści pod nogami, urwane łańcuchy, trzaskające pod butami biegnących koleżanek i kolegów drobne gałązki. Na chwilę zatrzymywali się przy kostnicy i przyziemnych okienkach wentylacyjnych poniemieckich grobowców. Te małe otwory ukazywały zmumifikowane szczątki członków starych złotoryjskich rodów, okienko w kaplicy umieszczone na wprost katafalku odsłaniało ciało nieboszczyka oczekującego na uroczystość wyprawiającą go na tamten świat. Widok zmumifikowanych wieloletnich zwłok i ciał poddanych sekcji do dzisiaj tkwi boleśnie w zakamarkach pamięci. Przy wspomnieniach odżywa stary lęk i wyrzuty sumienia, że głupie dziecko zaglądało do świata nie należącego już do nas.

Po drodze mijali jeszcze nieduży cmentarz żydowski za dość wysokim murem - od lat niedostępny. Mały wyskok i zawieszenie się łokciami na murze umożliwiały szybki rekonesans – kontrolne spojrzenie. Latem bluszcz i rozkrzewione paprocie ukrywały pochylone macewy, zimą – na odległość można było przyglądać się niezrozumiałym znakom i symbolom. Zadziwiał marazm tego miejsca, przygnębiające zapomnienie, którego stopień można byłoby mierzyć pochyłością przewracających się płyt. Panowała tu dziwna melancholia kojarząca się z porzuceniem, a jednocześnie przerażliwe wołanie o pamięć miejsca i ludzi w nim spoczywających.

Z cmentarza już niedaleko było do sztolni. Jeśli celem wyprawy nie był basen, to i tam zaglądała ciekawska ferajna, która wypatrzyła małe, ciasne wejście z przeszkodą w postaci Młynówki. I tu Danusia dostąpiła zaszczytu wejścia do starej kopalni w towarzystwie braci. Kiedy woda sięgnęła ramion, dziewczynkę nakłoniono do powrotu, a dzielni chłopcy zanurzyli się w paszcze ciemności. Nie wszyscy mieli odwagę wchodzić do zasypanej kopalni, za to wielu chętnie bawiło się w pobliskiej jaskini, wyobrażając sobie, że było to miejsce aktywności pierwszych ludzi. Jaskinia była doskonałą kryjówką w porze jesiennej – dawała dach nad głową i stawała się miejscem ożywionych dziecięcych dyskusji i rozmów przetykanych krótkim „jak będę dorosły/dorosła to...”.

Bywało, że podczas wypraw do „mysiej dziury” trafiali na zakochanych. Podglądanie całujących się par było wielce fascynujące. Najpierw cichutko przywierali do podłoża niczym jaszczurki, by podejść jak najbliżej i rozerwać ciszę wrzaskiem „Panna z kawalerem pod szóstym numerem!”, a potem dać w długą. Ucieczka z miejsc z niepisanym wstępem wzbronionym była specjalnością ówczesnej ferajny. Jedynie kiedy zostali przyłapani na objadaniu się czereśniami w przedszkolnym ogrodzie łatwiej mogli uciec przed woźnym, panem Wieliczko, wysoko na drzewo, niźli podejmować przeprawę przez wysoki płot naszpikowany grotami. Pan woźny krążył po sadzie, roztaczał wizje cierpień, kiedy wreszcie kogoś dopadnie. Znali człowieka i wiedzieli, że pokrzyczy, pokrzyczy i pójdzie. Nigdy nikogo nie skrzywdził, ani nie zabraniał swoim dzieciom bawić się z łobuzami „od czereśni”.

Niekiedy podwórkowe towarzystwo

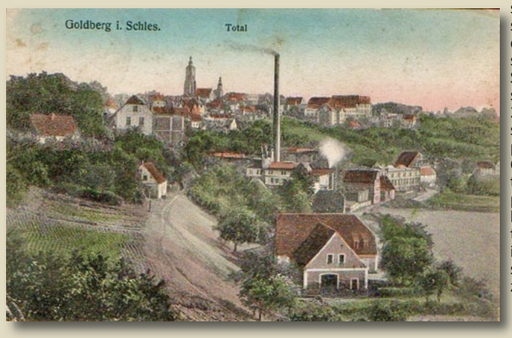

spotykało się w innych okolicznościach. W Szkole Podstawowej nr 2 odbywały się sobotnie potańcówki. Chłopcy, jak to chłopcy - przychodzili licznie, ale taniec nie był ich mocną stroną, za to z przyjemnością podglądali, czasem straszyli koleżanki w toaletach. Inaczej dziewczynki – starannie przygotowane, ściśnięte pasem w talii dla wyeksponowania kontrafałdek flanelowej spódnicy, chętnie pląsały po parkiecie wywijając nóżkami w świeżo zakupionych, lśniących „trumniaczkach” (podobnych do dzisiejszych balerinek, „gdyneczek”). Ich welurowe wierzchy i tekturowe podeszwy przechodziły wielokrotne „rasowanie” dzięki złotym rączkom ojców. Były na owe czasy „eleganckie” i wygodne, co nie zmienia faktu, że wymyślone na ostatnią drogę.

Wielką przyjemnością był udział w kółku teatralnym prowadzonym w Domu Kultury przez rusycystkę z SP nr 1, Panią Helenę Kandybowicz. W albumie Danusi zachowały się dwa zdjęcia z tych teatralnych spotkań ze złotoryjską publicznością, która licznie schodziła się, by obejrzeć małych aktorów, wypowiadających swoje kwestie w języku rosyjskim. Do najczęściej wystawianych należały bajki „Dni tygodnia” i „O rybaku i złotej rybce”. W pierwszej „Piątek” - w rolę którego wcielał się Rysiek Buczko - żenił się ze „Środą”, graną przez Danusię Lipińską. W bajce o złotej rybce główna rola przypadła złotowłosej piękności – Jasi Sieczko, rybaka zagrał Marek Kamiński. Na pamiątkowym zdjęciu znaleźli się również: Krysia Spychała, Teresa Rokitowska, Helenka Markowska, Danusia Bujak, Asia Apanasewicz, J. Jańczak, Jadzia Lisiak. Te magiczne spotkania teatralne utrwalały znajomość języka obcego, którym do dzisiaj bez problemu posługują się ówcześni mali aktorzy.

Nie musimy współczuć naszym rodzicom/dziadkom. Owszem, trudno nazwać ich dzieciństwo kolorowym, ze względu na trudy, z jakimi borykali się osiedleńcy na ziemiach zachodnich w pierwszej dekadzie po wojnie, a większość podejmowanych zajęć służyła przetrwaniu i zdobywaniu podstawowych artykułów. Dorośli nieustannie zajęci pracą często obarczali dzieci domowymi obowiązkami – pracą w przydomowych ogródkach, przy zwierzętach, czy opieką nad młodszym rodzeństwem. Danusia i Witek często pomagali ojcu w warsztacie – coś przytrzymywali, podawali narzędzia – dziś oboje uchodzą w rodzinie za „złote rączki”. W warsztacie tym powstawały nie tylko sprzęty niezbędne w gospodarstwie domowym, ale także zabawki, pomoce naukowe, dekoracje świąteczne. Danusia długie lata posługiwała się narzędziami ojca, które dzisiaj zasilają zbiór pamiątek rodzinnych.

Na pewno nie można nazwać tego dzieciństwa nudnym. W pierwszym wrażeniu może wydawać się, że ówczesne dzieci robiły zwyczajne rzeczy, tylko na gorszym sprzęcie, a najczęściej na skrawkach tego, co znajdowały na ulicach i co zbędne było w domu. Ale właśnie ta wspólnota nieposiadania luksusów sprawiała, że tak chętnie spędzali ze sobą czas, udostępniali swoje zabawkowe dobra, uruchamiali fantazję wymyślając i nieustannie udając. W udawanym sklepie płacili udawanymi pieniędzmi, zwykła dziurawa firanka wystarczyła, by zostać królewną, kawałek patyka służył za królewski pojazd i broń rycerza-zdobywcy zamku. Nie było kolorowych i uruchamianych bateriami kas, salonów fryzjerskich, torby lekarskiej z zestawem „małego chirurga”, w jakie obfitują dzisiejsze pokoje dziecięce. Najważniejsze było towarzystwo kolegów – resztę dopełniała fantazja. I nawet jeśli dorosłe ścieżki członków podwórkowej braci przestały się krzyżować, to i tak lata dziecięce, w tym wspomnienia z podwórka, wywołują i śmiech, i wzruszenie. Niezapomniane lata...

Joanna Sosa-Misiak

Skąd się biorą choinki?

Zdawałoby się, że gdy zima białym puchem przykrywa las, to ten zamiera i cichnie. Nic bardziej mylnego! Panuje tu ciągły ruch. Po lesie pomykają sarny i jelenie ogryzając korę z drzew, w gęstych zaroślach chowają się stada dzików, echem niesie się odgłos stukania dzięcioła. Najwięcej hałasu czynią jednak ludzie, zwłaszcza w okresie przedświątecznym. Oto na leśnej polanie tuż przy świerkowym młodniku jazgocze piła spalinowa i słychać gwar wielu ludzkich głosów. Co kilka sekund pod zębami piły pada kolejny młody świerk. Wiele, bardzo wiele zostało już ściętych, teraz leżą na ziemi ułożone w wysokie stosy.

Przyjechało tu kilka mniejszych i większych samochodów dostawczych. Na kilku piętrzą się wysoko choinki. One zaraz odjadą. Kilka czeka jeszcze na załadunek.

W padającym gęsto śniegu uwijają się pracownicy Zakładu Usług Leśnych. W dwóch miejscach ustawiono urządzenia do pakowania drzewek. Jeden mężczyzna bierze ze stosu choinkę, wkłada do tuby urządzenia, drugi odbiera ją, obciągając miękką siatką, trzymającą gałęzie. Taką „zabandażowaną" choinkę ładuje się do samochodu. Teraz następna, i kolejna. Trzeba pracować szybko, bo grudniowy dzień bardzo krótki. Nad wszystkim czuwa podleśniczy, Roman Cetnarowicz.

To miejsce pozyskiwania choinek na Boże Narodzenie.

Kto rozpowszechnił pogląd, że ubieranie żywych choinek niszczy las? Oczywiście producenci plastików. A przecież produkcja sztucznych drzewek zanieczyszcza środowisko i generuje mnóstwo odpadów równie szkodliwych. Natomiast choinka z lasu, gdy już spełni swoje szlachetne zadanie, to albo zostanie spalona, albo rozłoży się w sposób naturalny, użyźniając glebę.

– Choinki to nasz produkt uboczny – przekonuje trochę przekornie leśniczy z Leśnictwa Proboszczów pan Konrad Leszczyński. – W każdym lesie, również na terenie Nadleśnictwa Złotoryja, są takie miejsca, gdzie nie może być drzew. Na przykład pod liniami wysokiego napięcia, gdzie można prowadzić uprawę drzew ale tylko w krótszym cyklu produkcyjnym. Chodzi tu o zapewnienie bezpiecznego przesyłu energii.

Ponieważ szkoda zostawić grunt dla chwastów, leśnicy sadzą tu właśnie świerki. Po czterech, pięciu latach drzewka osiągną wysokość półtora metra i można je ścinać na choinki.

Choinki są też hodowane przez leśników trochę jak rośliny w ogrodach. Gdy zakłada się nową uprawę leśną, sadzonki muszą być posadzone bardzo gęsto, aby młode drzewka pięły się do góry, a nie rosły na boki. Na jednym hektarze sadzi się ponad cztery tysiące świerków! Gdy drzewa urosną na tyle, że dotykają się gałęziami, zaczyna się wycinka. To jest tak zwane czyszczenie wczesne. Chodzi o takie przerzedzenie drzew, aby w efekcie uzyskać dorodne egzemplarze. Na jednym hektarze docelowego drzewostanu można zostawić tylko 400 sztuk. Cała reszta musi zostać usunięta w ciągu około stu lat w ramach zabiegów pielęgnacyjnych. Coś jak flancowanie roślin w ogródkach. Żeby wycięte drzewka się nie zmarnowały, przeznacza się je na choinki dla ludności. Kolejne wycinka to czyszczenie późne, gdy drzewka osiągają wysokość kilku metrów. Takie też przeznaczane są na choinki, lecz już nie do mieszkań, a do dużych i wysokich wnętrz takich jak kościoły, świetlice, itp.

Jednak najpiękniejsze choinki uzyskuje się z pasa ochronnego upraw doświadczalnych. Gdy na przykład zakłada się plantację dębów, to w celu ochrony ich przed zwierzętami oraz przed zimnem i wiatrem, obsadza się sadzonki pasem ochronnym. Jest on złożony zwykle z drzewek świerkowych. Po kilku latach, gdy młode dęby z uprawy doświadczalnej wzmocnią się i mogą rosnąć samodzielnie, świerkowy pas ochronny należy całkowicie usunąć. I znów - żeby się nie zmarnowały, wycina się je na choinki dla ludności.

Pod liniami wysokiego napięcia można sadzić tylko drzewka z przeznaczeniem na choinki.

W taki sposób pozyskuje się choinki na Boże Narodzenie.

W Nadleśnictwie Złotoryja na bożonarodzeniowe choinki przeznaczane są trzy gatunki drzew rodzimych: sosna, jodła i świerk.

– Jesteśmy w stanie zaopatrzyć w choinkę każdą rodzinę – mówi z dumą leśniczy Konrad Leszczyński. – W samym Leśnictwie Proboszczów sprzedano w ubiegłym roku 1200 choinek. A jeszcze sporo zostaje, więc zbywamy je poza terenem naszego nadleśnictwa, we Wrocławiu czy Jaworze. U nas choinki są o wiele tańsze niż w sklepach. Na przykład drzewko o wysokości od 1 do 1,5 metra kosztuje tylko 10 złotych, a te do 2,5 m są w cenie 15 złotych.

A teraz pozostaje wybrać, czy na Boże Narodzenie kupujemy drogi plastikowy chłam śmierdzący chemią, który nieudolnie udaje drzewko świąteczne? Może jednak tanią żywą choinkę prosto z lasu, która nasz dom napełni wonnym zapachem żywicy. Mam nadzieję, że nasi Czytelnicy podejmą słuszną decyzję.

tekst i zdjęcia: Agnieszka Młyńczak

Gdzie anioł nie może, tam Beatę pośle

28 listopada 2012 r. w Bibliotece Miejskiej odbyło się spotkanie z twórczynią aniołów „z odzysku". Z przyjemnością spotkaliśmy się z autorką, która porywająco opowiadała o swojej pracy. Beatę Makutynowicz poznałam 2 lata temu. Zachwyciły mnie wtedy jej anioły. Kiedy nadarzyła się okazja kolejnego spotkania ,porozmawiałyśmy o twórczości Pani Beaty..

Kiedy po raz pierwszy pomyślałaś, że chcesz pracować w zawodzie artysty- plastyka?

Wtedy, gdy kolejny raz zwolniłam się z pracy, związanej z hotelarstwem. Bardzo się męczyłam, pracując nie w swoim zawodzie (technika sztuk pięknych). Poświęciłam właściwie spokojną posadę dla nieznanej przyszłości, którą chciałam związać z tworzeniem czegoś mojego. Gdy to zrobiłam- poczułam spokój i wiedziałam, że to jest to, chociaż praca artysty nie daje żadnych gwarancji finansowych na przyszłość. Jednak chęć tworzenia jest silniejsza od rozsądku. Każda inna praca, która ogranicza moją wolność zaczyna mi uwierać. Natomiast twórczość artystyczna daje mi wolność.

Czy zawód ten wymaga wyrzeczeń?

Bycie twórcą oznacza życie w niepewności. W moim przypadku bycie artystą momentami oznacza prace w mało komfortowych warunkach. Czy któraś kobieta chce „targać" stare deski, chodzić po złomowiskach, żeby wyszukać ciekawych metalowych form- ja takiej do tej pory nie spotkałam. Czasami oznacza też wybór między byciem z rodziną lub pójściem do pracowni- i jest to dosłownie wewnętrzna walka. Na pewno nie mam wolnego czasu. Nie mam go, żeby gdzieś wyjść, żeby się z kimś spotkać, nie mam czasu, żeby wypocząć. Mój wolny czas liczę raczej na godziny niż na dni.

Czy możesz uchylić rąbka tajemnicy ze swojego codziennego życia?

Rano pobudka- żeby obudzić dzieci, potem kawa, potem „galop" do pracy- do galerii (B. Makutynowicz pracuje w Galerii Produktu Lokalnego w Karpaczu), obiad na stojąco (wcześniej muszę go ugotować), potem pracownia...i tu oddech wolności- tworzę. Potem z częścią pracy przenoszę się do domu, by chociaż trochę wieczoru spędzić z rodziną, ale cały czas tworząc. Siedzę do nocnych godzin, wtedy maluję, lakieruję i słucham swoich dzieci, a jak pójdą spać – to słucham powieści na audiobookach, żeby nie marnować czasu. A jeżeli nie tworzę, to uczę się, ponieważ rozpoczęłam pedagogiczne studia licencjackie. W międzyczasie podskoczę na złomowisko, zdobędę stare drzwi, które trzeba posegregować, przeczyścić, ułożyć. Moimi ulubionymi wyrażeniami są: „nie marnować czasu" i w „międzyczasie".

Kiedy zaczęła się Twoja kariera artystyczna?

Swojej twórczości nie odbieram w kategorii „kariera". Myślę, że jest to raczej docenienie mojego wysiłku i to mi wystarczy.

Czy stworzenie anioła wymaga dużo czasu oraz jak przebiega proces tworzenia?

Jeżeli chodzi o proces tworzenia anioła, to niektóre powstają w 2 godziny i te są najładniejsze - powstają w chwili natchnienia. Niektóre jednak wymagają od 4 do 6 godzin pracy. Proces twórczy wygląda następująco: czyszczenie deski, porąbanie, piłowanie, czasami wyszlifowanie, a czasami wydrapanie jej szczotką. Do zabezpieczania jej przed dalszym rozkładem- używam specjalnych preparatów do konserwacji. Od tego momentu zaczyna się najprzyjemniejszy proces twórczy- układanie anielskich postaci, przymierzanie elementów, które powinny pasować formą, kolorem, fakturą. Potem już tylko wiercenia, skręcanie, mocowanie, dopasowywanie metalowych elementów. Na koniec maluję „oblicze" anioła, formuję „fryzurę", nadaję mu nazwę. Ot i Karkonoski Anioł Staroskrzydły gotowy.

Ile wystaw poświęconych aniołom odbyło się do tej pory?

Miałam trzy grupowe oraz sześć indywidualnych ,,anielskich" wystaw.

Czy Twojej rodzinie podobają się Twoje anioły?

Mojej rodzinie anioły podobają się bardzo, dopingują mnie, pomagają segregować cięższe deski; chociaż najpierw te „starocie" musiałam ukrywać. Na początku widzieli tylko stare, rozwalające się dechy, a nie materiał do ponownego wykorzystania. Dopiero po trzeciej wystawie dotarło do nich co ja właściwie takiego robię, jaka jest idea gromadzenia tych desek. Młodszy syn zdecydował się nawet na „wizytę" na złomowisku, chociaż dla małych dzieci może to być przerażające miejsce. Jednym słowem- moja twórczość tak

się już wrosła w moją rodzinę, że nikt nie wyobraża sobie, bym mogła robić coś innego. Mam cichą nadzieję, że kiedyś będą dumni z twórczości mamy, że zrobiła coś ciekawego, a zapomną mi to, że kolejny raz nie przygotowałam obiadu. (Wiedzą i rozumieją to, że potrzebna jest mi twórczość?)

Jakich materiałów używasz tworząc anioły?

Materiały, których używam do aniołów to stare deski. Zawsze chcę wiedzieć z jakiego są miejsca, jakie mają pochodzenie. I oczywiście stare, metalowe przedmioty- albo ze złomowiska albo z jarmarków staroci.

Który z artystów jest dla Ciebie autorytetem w dziedzinie sztuki?

Autorytety- to przede wszystkim malarze: da Vinci, Van Gogh, Boznańska, Klimt, a ze współczesnych malarzy to Kacper Kalinowski i Michał Świder. Od każdego z tych malarzy czerpię inspiracje i choć przedstawiają różnorodne style i epoki, to wszyscy mają jakiś wpływ. Lubię studiować ich malarstwo, wpatrywać się w ich obrazy.

Jak spędzasz czas wolny?

W wolnym czasie uprawiam sport- latem pływam, zimą biegam na biegówkach, ale najbardziej lubię siedzieć i odpoczywać w promieniach słońca. Potrafię się zregenerować w przeciągu pół godziny- właśnie siedząc na słońcu.

Należę do- coraz większego grona wielbicieli Twoich aniołów- ale trzeba powiedzieć, że malujesz także piękne- barwne obrazy- która zatem z tych pasji jest Ci bliższa?

Lubię podziwiać piękne malarstwo. Był etap w mojej twórczości, kiedy malowałam. Całymi wieczorami i nocami siedziałam, malując barwne obrazy, odtwarzając naturę, to mnie wyciszało. Światło w nocy powoduje to, że obrazy stają się bardziej nasycone, intensywne w swoich kolorach- tych barw bardzo wtedy potrzebowałam. Anioły natomiast wymagają ode mnie nieustannego ruchu, dużo większej kreatywności, uruchamiają wyobraźnię- widocznie teraz to mi jest potrzebne. Kiedyś pewnie wrócę do malarstwa, ale to jeszcze nie ten czas.

W jakich miejscach gościły już Twoje anioły?

Anioły były wystawione w Starej Kamienicy, Karpaczu, Szklarskiej Porębie, Jeleniej Górze, Jaworze, Lubinie i oczywiście w Złotoryi.

Wspomniałaś o tym, że pracujesz w galerii, czy możesz więcej powiedzieć o tym miejscu?

Miejsce w którym pracuję to Galeria Produktu Lokalnego „Skarbiec Ducha Gór", która powstała dzięki FIO, a pozyskane środki zostały wykorzystane , przez Lokalną Grupę Działania Partnerstwo Ducha Gór. Jej celem jest wystawianie produktów oryginalnych, ręcznie wykonanych tradycyjnymi metodami, z naturalnych produktów- począwszy od rzemiosła artystycznego, a skończywszy na smakowitych ciasteczkach. Ja pracuję, jako animator produktu lokalnego, którego zadaniem jest wskazywanie kierunku, w jakim producent powinien pójść; co może ulepszyć w swoim produkcie- czego oczekują klienci. Muszę go odpowiednio zarekłamować osobie kupującej (opowiedzieć historię produktu, miejsca gdzie powstają). Główną ideą galerii jest stworzenie marki lokalnej produktu.

Dziękuję Ci za rozmowę i życzę sukcesów artystycznych!

Tekst: Magdalena Hanebach
Zdjęcia: Joanna Sosa-Misiak

Kronika

24-25.12. W WDK w Nowym Kościele odbyło się polsko-czeskie spotkanie kulinarne w ramach mikroprojektu „Kobieca siła, czyli przez żołądek do serca".
28.11. W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się Wernisaż Beaty Makutynowicz „Anielski (na)lot".
28-30.12. Uczniowie ZSZ zdobyli drugie miejsce w zorganizowanym w Karpaczu konkursie „Kulinarna uczta Gastro-hotel z Markiem Widomskim – Sudecka Kuchnia Regionalna".
29.11. Rada Miejska w Złotoryi opowiedziała się przeciwko utworzeniu dwujęzycznego gimnazjum przy złotoryjskim LO.
29.11. W Zakładzie Poprawczym Jerzmanicach-Zdroju odbyła się konferencja ewaluacyjna
Projektu „Duma narodowa – cecha ludzi wolnych".
29.11. W LO odbyło się XVII Licealne Spotkanie z Piosenką Poetycką teatru „Mimo wszystko", któremu towarzyszyła aukcja na rehabilitację absolwentki - Klaudii Piechury.
30.11. Wałbrzyska fundacja „Razem" zorganizowała w Złotoryi konferencję pt. „Partnerska rola władz lokalnych, NGO i przedsiębiorców".
30.11. Rada Powiatu jednogłośnie podjęła uchwałę w sprawie utworzenia dwujęzycznego gimnazjum przy złotoryjskim LO.
01.12. Rozpoczęły się zapisy na IV edycję Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów.
01.12. W Hali Sportowej „TĘCZA" w Złotoryi odbył się Mikołajkowy Turniej Piłki Ręcznej Chłopców o Puchar Dyrektora Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi.
02.12. Przeprowadzono kwestę na rzecz rehabiltacji Klaudii Piechury. Ogółem udało się pozyskać kwotę ponad 10 000 zł.
02.12. Kacper Harkawy (Klub Champion Złotoryja) zdobył złoty medal na odbywających się w Poznaniu Mistrzostwach Polski Młodzików im. Pawła Szydły.
03.12. Zakończyła się tegoroczna 12. edycja kampanii profilaktycznej „Zachowaj Trzeźwy Umysł".
04.12. Jerzy Warchoł z Nowego Kościoła zdobył trzecie miejsce a Agnieszka Stańczyk ze Złotoryi została wyróżniona w VII Edycji Konkursu „Pracodawca przyjazny młodzieży" pod auspicjami Kuratora Oświaty we Wrocławiu, Wicemarszałka Województwa Dolnośląskiego i Dyrektora KRUS we Wrocławiu.
05.12. Prawie pół setki zawodników wzięło udział w zorganizowanym przez Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji jubileuszowym 10. Mikołajkowym Turnieju Szachowym.
06.12. Przegląd Piosenki Przedszkolnej „Dla Ciebie, Mikołaju".
07.12. W Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych zorganizowało obchody święta górniczego „Barbórkę". Koncert złotoryjskiej orkiestry górniczej, śpiewy górnicze i biesiadne, a na scenie – koncert duetu skrzypcowego Be2, śpiewających aktorek teatru „Mimo wszystko", gimnazjalistki Hanny Markiewicz i pokaz młodych gimnastyczek Ocelota.
07-09.12. Podczas XVI Ogólnopolskiej Konferencji Trenerów Tenisa w Warszawie wręczono wyróżnienie Złotoryjskiemu Towarzystwu Tenisowemu za zajęcie 9. miejsca w konkursie „Tenis 10 – Klub Roku 2012".
07-09.12. Z okazji Światowego Dnia Inwalidy w Hali Sportowej „Tęcza" odbył się V Międzynarodowy Integracyjny Turniej Piłki Siatkowej.
07.12. Muzeum Złota zorganizowało wernisaż „Twórczość Jakuba Zapłaty w portretach".
08.12. W Dobkowie odbyły się międzypokoleniowe i wielokulturowe Świąteczne Spotkania.
12.12. Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała spotkanie z Krzysztofem Koziołkiem.
14.12. Dr Robert Krzemień wygłosił w sali CKSiT w Świerzawie wykład pt. „Dziedzictwo kultury materialnej Świerzawy".
14.12. Uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej w Świerzawie zorganizowali przy świerzawskim ratuszu Kiermasz Świąteczny.

Wigilijne uszka do barszczu

Składniki na ciasto (ma być delikatnie lepkie):
1 kilogram mąki
1 jajko
Gorąca woda (3 szklanki)
Łyżka oleju
Szczypta soli
Składniki na farsz:
½ kilograma pieczarek
20 dekagramów suszonych (mieszanych) grzybów leśnych
2 duże cebule
Olej do smażenia
Sól i świeżo mielony pieprz
2 łyżki bułki tartej (opcjonalnie)

Przygotowanie:

Wypłukane grzyby leśne zalewam wodą i odstawiam na 2 – 3 godziny. Następnie po wypłukaniu gotuję pod przykryciem około 2 godzin. W tym czasie cebulę kroję w piórka, pieczarki w plasterki, cebule szklę na oleju. Do zeszklonej cebuli dodaję pieczarki i odcedzone ugotowane grzyby. Całość przesmażam i doprawiam solą oraz pieprzem. Odparowuję, ponieważ masa nie powinna być mokra. Wszystko przepuszczam przez maszynkę z grubym sitkiem. Jeśli trzeba, dodaję 2 łyżki bułki tartej.

Teraz czas na ciasto. Wyrabiam je z podanych składników, rozwałkowuję na stolnicy posypanej mąką, następnie kroję w kwadraty lub wycinam kieliszkiem koła. Potem nakładam farsz, zlepiam boki, a nakładając sobie uszko na palec wskazujący zlepiam końce.

Gotuję w dużym garnku w osolonej wodzie przez 2 minuty od wypłynięcia. Po ugotowaniu wybieram uszka łyżką cedzakową. Układam na talerzu i polewam olejem lub roztopionym masłem.

Teresa Tokarz

Według statystyk regionalnych GUS ilość starszych mieszkańców Złotoryi systematycznie wzrasta. Obecnie mamy 18% mieszkańców powyżej 60 roku życia. Wielu z nich zachowuje sprawność, samodzielność i nie potrzebuje wsparcia przez długi czas. Często nawet po osiemdziesiątce świetnie radzą sobie sami. Powinni więc być podmiotem polityki społecznej a nie tylko przedmiotem troski władz samorządowych. Z demografii GUS wynika, że ilość osób starszych będzie rosła. Odsunięcie tak dużej ilości dorosłych mieszkańców z lokalnego życia publicznego będzie miało negatywne skutki, zarówno dla nich samych, jak i reszty społeczeństwa. Szczególnie młodego pokolenia, które nie będzie mogło skorzystać z bogatych doświadczeń zawodowych i społecznych. Młodzi nie nauczą się szanowania tradycji i czerpania z niej siły do budowania swojej przyszłości.

Na co osoby starsze najczęściej wydają oszczędności ?

Czy zdarza się , że osoby starsze są dyskryminowane ze względu na wiek?

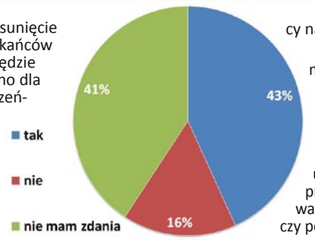

Seniorzy, tak jak dzisiaj, będą przekonani, że są ciężarem dla społeczeństwa.

Chcąc poznać bliżej środowisko złotoryjskich mieszkańców 60+, Stowarzyszenie Edukacja Przyszłości pozyskało środki na działania aktywizujące seniorów, w ramach I konkursu dotacyjnego w Rządowym Programie Aktywizacji Społecznej Osób Starszych. Głównym celem projektu „Zabierz głos" jest włączenie starszych mieszkańców Złotoryi w procesy decyzyjne samorządu i zainicjowanie współpracy wśród podmiotów III i II sektora, na rzecz włączania seniorów w kształtowanie polityk lokalnych.

Działania rozpoczęliśmy od spotkań informacyjnych, zorganizowanych przy współpracy z organizacjami zrzeszającymi seniorów na terenie Złotoryi takimi jak: Polski Związek Emerytów i Rencistów, Klub Seniora, Związek Nauczycielstwa Polskiego, Związek Sybiraków, Dzieci Wojny. Wzięło w nich udział 100 starszych mieszkańców Złotoryi z różnych środowisk. Podczas spotkań przedstawiono , co to jest partycypacja obywatelska, dlaczego seniorzy powinni się włączyć w procesy decyzyjne i jak to zrobić oraz zaproszono uczestników do wypełnienia ankiety. Odpowiedzi seniorów na kilka pytań przedstawiamy poniżej. Wynika z nich, że w większości są zadowoleni ze swojego życia, ale często czują się samotni i chętnie zaangażowaliby się w różne działania. Duża grupa (powyżej 30 osób) deklarowała chęć pracy na rzecz środowiska lokalnego.

W dalszej części projektu 21 chętnych seniorów będzie uczestniczyć w krótkich warsztatach, podczas których poznają prawa obywateli oraz narzędzia demokratyczne pozwalające na współdecydowanie w sprawach dla nich ważnych. Wiedzę tę będą utrwalać praktycznie, uczestnicząc w pracach Rady Miejskiej. Do prezentowania poglądów, wspólnych stanowisk czy petycji do władz posłuży portal Złotoryjanie.pl, na którym jest prezentowana między innymi tematyka związana z partycypacją obywatelską.

Projekt zakończymy spotkaniem, na które zaprosimy uczestników, przedstawicieli organizacji zrzeszających seniorów, władze Miasta, radnych i lokalne media. Przedstawimy raport o potrzebach i oczekiwaniach seniorów, a uczestnicy projektu zaprezentują swoje inicjatywy.

Działania realizowane są w ramach Rządowego Programu Aktywizacji Społecznej Osób Starszych , finansowane przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej.

Paweł Macuga,
Kamila Nankiewicz

Jakie problemy społeczne, najczęściej dotykają osób starszych w naszym mieście?

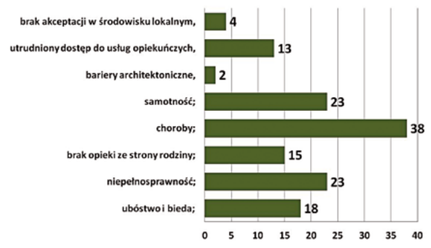

Osoby starsze spędzają czas najczęściej

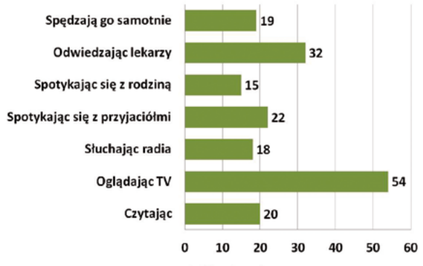

Poziom zadowolenia seniorów z:

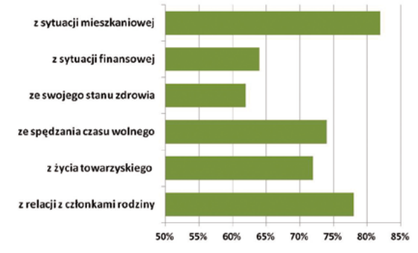

Gdyby były takie możliwości, to czy chciał(a)by Pan(i) zaangażować się i uczestniczyć w następujących aktywnościach?

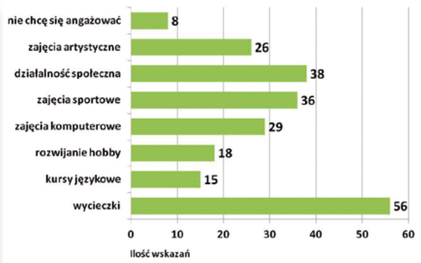

W pierwszych dniach grudnia środowiska górnicze w Polsce obchodzą swoje święto. Pracownicy kopalń spotykają się na tradycyjnych karczmach piwnych i biesiadach, aby podsumować miniony rok i snuć plany na przyszłość. Zgodnie z tą tradycją w dniu 03.12. 2012 r. o godzinie 17.00 w Sali Bankietowej „Zielony Gaj" w Złotoryi odbyło się spotkanie barbórkowe Kopalń Surowców Skalnych S.A. Przedsiębiorstwo Kopalnie Surowców Skalnych S.A. w Złotoryi istnieje na przemysłowej mapie Polski od kilkudziesięciu lat. Przedmiotem jego działalności jest eksploatacja i przeróbka bazaltu na bazie jednego z największych w kraju złóż (złoże „Jawor-Męcinka"). Produkcja kruszyw prowadzona jest na Kopalni Bazaltu „Męcinka". Powstające w wyniku tych procesów kruszywa stosowane się powszechnie przez najlepsze firmy krajowe i zagraniczne do budowy infrastruktury komunikacyjnej (drogowej i kolejowej) na terenie całego kraju.

W uroczystości barbórkowej udział wzięli obecni pracownicy oraz zaproszeni goście (emeryci): Władysław Fridrich, Władysław Sobota, Andrzej Maszczak, Eugeniusz Śmigaj, Stanisław Fudali, Ryszard Efinowicz, Waldemar Grywaczewski, Edward Gorczyca, Jan Hałuszka, Czesław Głuszek.

W spotkaniu uczestniczył także Pan Piotr Miller, który obejmie stanowisko Prezesa Spółki od stycznia 2013 r. Obecnie stanowisko to piastuje Pan Zbigniew Lasek.

Uroczystość okolicznościowym wystąpieniem rozpoczął Prezes Spółki – Pan Zbigniew Lasek. Następnie, zgodnie z barbórkową tradycją, długoletnim pracownikom Przedsiębiorstwa, w uznaniu za ich zawodową kompetencję i nienaganną postawę pracowniczą, zostały wręczone odznaki.

Odznaką „Za Zasługi dla Energetyki" wyróżniony został Pan Eugeniusz Trytek.

Złotą odznaką Zasłużonego Pracownika Kopalń Surowców Skalnych w Złotoryi wyróżnieni zostali: Czesław Jabłoński i Zdzisław Rzeszutek.

Srebrną odznaką Zasłużonego Pracownika Kopalń Surowców Skalnych w Złotoryi wyróżnieni zostali: Adam Ambrożuk, Jan Depa, Marian Gigiel, Irena Pośko.

Brązową odznaką Zasłużonego Pracownika Kopalń Surowców Skalnych w Złotoryi wyróżnieni zostali: Wioletta Szymańska, Ewelina Zielonka, Krzysztof Dudzic, Roman Borucki, Kazimierz Chmielarski, Marek Dawidowicz, Krzysztof Regulski.

Pięciu pracownikom przyznano także stopień górniczy – Górnik III stopnia: Stanisław Gronostal, Wiesław Lempaszak, Zbigniew Gronostal, Wiesław Sługocki, Piotr Szerszeń.

Podczas uroczystości uhonorowano również pracowników Przedsiębiorstwa obchodzących jubileusz 35-lecia pracy w górnictwie.

W uznaniu 35-letniej pracy przyznano odznaki, honorowe dyplomy oraz pamiątkowy album następującym pracownikom: Alicja Witkowska, Marian Mrowiec.

W spotkaniu barbórkowym uczestniczyć miała Pani Minister Urszula Pasławska, która w imieniu Prezydenta RP upoważniona była do wręczenia dwóm pracownikom Kopalń (Adamowi Mroczkowskiemu i Stanisławowi Gronostalowi) Medalu Złotego za Długoletnią Służbę. Niestety w ostatniej chwili okazało się, że Pani Minister nie może być obecna na uroczystości i Medale zostaną wręczone pracownikom w terminie późniejszym.

Po dokonaniu wyróżnień pracowników rozpoczęła się towarzyska część spotkania barbórkowego – biesiada górnicza. Czas upłynął miło i sympatycznie.

Anna Maciejska-Gudz

Szanowni Państwo,

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz zbliżającego się Nowego - 2013 Roku składamy wszystkim Naszym Klientom oraz Przyjaciołom serdeczne życzenia, dużo zdrowia, radości, uśmiechów i samych sukcesów

Pracownicy 1 Oddziału Banku Zachodniego WBK w Złotoryi

Pierwsza zagadka odgadnięta. Wbrew pozorom, te ciekawe zabudowania, chociaż trochę na uboczu, wielu naszym czytelnikom nie były obce. Gorzej było z przypisaniem ich do konkretnej miejscowości. Leżące nad Kaczawą, przy drodze między Wysockiem a Rzymówką, nie są w administracji żadnej z tych wsi. Ba, nie należą nawet do Łaźnik czy Rokitnicy. Szczęśliwym posiadaczem tych dóbr jest za to wieś Kozów. Prawidłowej odpowiedzi udzieliły nam dwie panie: Natalia Tarnowska oraz Katarzyna Pronkiewicz. Obu paniom serdecznie gratuluję i mam nadzieję, że nagrody, które otrzymały, sprawiły im radość. Prawidłową odpowiedź udzielił również Jarosław Molenda, ale to bardziej przypominało grę w statki, więc: panie Jarku - musi pan trochę bardziej się przyłożyć. Budowla wbrew pozorom od zawsze pełniła rolę gospodarstwa rolnego, a ciekawą bryłę zawdzięcza fantazji niegdysiejszego gospodarza.

A dzisiaj... Kiedyś to budowano! Nie dość, że całość była solidna, to jeszcze wkładano dużo wysiłku, żeby nawet najpospolitszą rzecz, jaką jest np. barierka – przyozdobić. Sam obiekt, choć od dawna nieużywany, jest bardzo ciekawy. Jest to chyba największa tego typu zbudowana z kamienia budowla na ziemi złotoryjskiej, niepoddająca się upływowi czasu, choć cienkie, żelazne barierki już niebawem pewnie się rozsypią. Leży pośrodku miejscowości, a jakby na uboczu. Kto wie, kto zna, kto był? Kto zechce trochę więcej opowiedzieć o tej budowli? Na śmiałka czeka nagroda od niżej podpisanego.

Robert Pawłowski

Jak było naprawdę?

Wydawałoby się, że przynajmniej historia najważniejszych fragmentów naszego miasta nie powinna budzić większych wątpliwości. Wiadomo, że centralne miejsce w dziejach wszystkich miast zajmuje Rynek. Tutaj zawsze nie tylko koncentrowało się życie polityczne czy kulturalne lecz również powstawały okazałe kamienice.

Jeszcze do niedawna byliśmy pewni co do powojennych losów kamieniczek u zbiegu Rynku i ul. Solnej w pierzei Rynku Dolnego (tam, gdzie obecnie funkcjonuje firma Big Bit Computer, a wcześniej Bar „Zdrowie" i WBK). Od XVI do XIX wieku powstawały tutaj bardzo ciekawe i cenne budynki. Jak pokazują stare widokówki, najciekawszą fasadę posiadała kamienica znajdująca się dokładnie na skrzyżowaniu ulic. Znane nam były również pierwsze, jak się wydawało, fotografie tego miejsca, wykonane po wojnie.

Zgodnie z tymi informacjami, najpierw w wydawnictwie *Dawniej i dziś. Ziemia złotoryjska w widokach* (cz. 1, Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Złotoryja 2000) a następnie w albumie, wydanym przez Wydawnictwo Edytor z okazji jubileuszu 800-lecia miasta (*Złotoryja 800 lat miasta 1211-2011*, Legnica 2010, II wyd. 2011) napisaliśmy, że owa kamieniczka, a także kilka z nią sąsiadujących, padły ofiarą pożaru w latach 1954-1955, następnie ruiny wyburzono aby w latach 1957-1959 wznieść w tym miejscu nowe budynki. Na jednej z powojennych fotografii widać w tym miejscu nie tylko ruiny, ale także w pobliżu podobiznę Józefa Stalina. Wiadomo, że nasz Rynek nosił jego imię w latach 1953-1956. Nasi informatorzy nie wierzyli, że ruiny były rezultatem działań wojennych 1945 r. – w takim wypadku straszyłyby aż dwanaście lat, co nie wydawało się możliwe. Wszystko to korespondowało z faktem niezbyt silnego oporu Niemców w 1945 r. i niewielkich zniszczeń miasta.

Ostatnio jednak pojawiły się nowe relacje. Jeden z przedwojennych mieszkańców Złotoryi, Günter Gläser, w październiku 2011 r. skierował w tej sprawie list do redakcji *Echa Złotoryi* (zamieścił go również w maju 2012 r. w miesięczniku Goldberg-Haynauer Heimat-Nachrichten). Jego zdaniem, a także jednego z jego znajomych, omawiane kamienice zostały wyburzone już w 1945 r. Gläser wspomina, że osobiście uczestniczył w rozbieraniu skrajnego budynku, a jego znajomy, opuszczając miasto w 1947 r. również zapamiętał ruiny tych domów. Zdaniem Gläsera, wyburzenie kamienicy na skrzyżowaniu zostało wymuszone względami bezpieczeństwa, ponieważ sąsiedni budynek zniszczyły działania wojenne. Nie jest on jednak pewny, czy stała wówczas jeszcze fasada budynku, dlatego, że brał udział jedynie w rozbiórce innych fragmentów. Autor listu przytacza także artykuł z listopada 1952 r., który ukazał się w GHHN, w którym informowano właśnie o tym, że budynki na rogu Rynku Dolnego i Solnej nie istnieją.

Serdecznie dziękujemy Günterowi Gläserowi za nadesłane wiadomości, przypominając jednocześnie, że był on również jednym z referentów podczas sesji popularnonaukowej o dziejach Wilkołaka, zorganizowanej przez TMZZ w 2009 r. Jemu także zawdzięczamy ciekawe informacje o działalności złotoryjskich Świadków Jehowy do 1945 r. oraz adwentystów a także pomoc przy książce o nazwach złotoryjskich ulic.

Czy zostały więc ostatecznie wyjaśnione dzieje opisywanych kamieniczek? Czy rzeczywiście zostały rozebrane, przynajmniej częściowo, w 1945 r.? A może czytelnicy pomogą wyjaśnić nasze wahania?

Nie mogliśmy oprzeć się pokusie zamieszczenia w artykule kilku fotografii z lat 1957-1959, ukazujących wznoszenie nowych budynków. Co do tego, że powstały one właśnie w tym czasie, nie ma na szczęście wątpliwości.

Roman Gorzkowski

Zapomniane – odszukane
Bezcenne rachunki

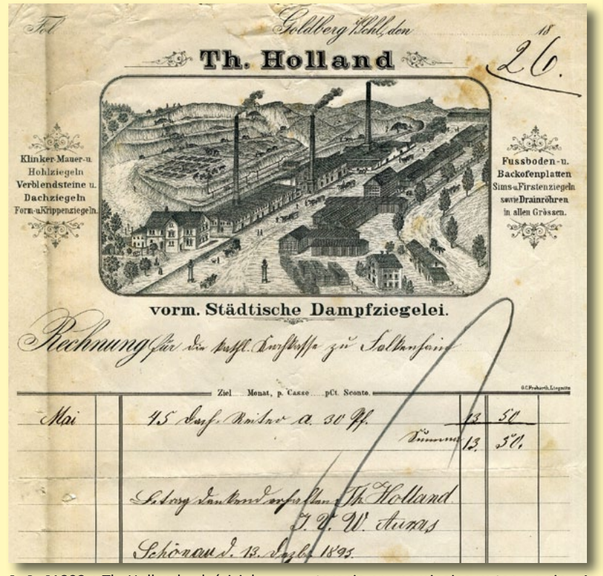

W 1893 r. Th. Holland, właściciel cegielni parowej w Złotoryi, wystawił rachunek dla kościelnej kasy w Sokołowcu. Nie był to dokument, jaki dzisiaj towarzyszy takim transakcjom. To zarazem papier firmowy, na którym właściciel chwali się rozmiarami swego przedsiębiorstwa. Niestety, nie potrafimy go zlokalizować. W Złotoryi przed wojną funkcjonowało kilka cegielni, ale chyba żadna nie była położona na terenie przypominającym ten z ryciny. A może jednak w XIX wieku wyglądała tak cegielnia, która znajdowała się w rejonie dzisiejszych ulic J. Słowackiego i Podwale? Czyżby widoczna na rycinie z prawej strony droga to obecna ul. Wojska Polskiego? Prosimy o pomoc czytelników.

Przy okazji, warto czasem przechować stare rachunki.

Przemysław Markiewicz
Skan: Wojciech Mencel

Warto przeczytać
..błogosławione, błogie słowa

Błogosławione błogie słowa,
puszczone pędem wolnych koni.
nikt nie zapisał, nie zachowa
zapachu chwili, ruchu dłoni.

To jedna ze zwrotek wiersza Jolanty Zarębskiej, który możemy znaleźć w pierwszym osobnym tomiku Jej utworów pt. *Śpiewam i milczę*. Ilustrują go nastrojowe miniatury Beaty Polkowskiej.

W obliczu wierszy Joli, głupio brzmi tytuł tej rubryki. Jej wszystkie wiersze nie tylko *warto przeczytać*, ale powinny nam towarzyszyć na co dzień, bo właśnie, choć nie zawsze błogo, zapisują chwile i całe życie. Nie można wyrywać z nich poszczególnych wersów. Dlatego zgadzam się, że *zawsze jest coś do zrobienia* (Zawsze jest) i boję się, że dla niektórych Bóg może być *postronny, półprzyjazny w świątecznym śpiewaniu* (Gloria in excelsis).

Na zakończenie jeszcze jedna zwrotka z cytowanego na wstępie utworu (Wędrownemu III):

Piórko z kukułką, listek mięty,
schowany skrzętnie między karty,
ołówek dawno szary, tępy,
sweter na łokciach już przetarty.

To może ja?

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki
Przy uliczce Valentina Trotzendorfa

Od XIX wieku do 1945 r. dzisiejsza uliczka Maluchów nosiła nazwę Valentina Trozendorfa, choć jej wygląd z początku być może nie pasował do najwybitniejszej postaci w dziejach miasta. Nie narzekajmy jednak – Trozendorf jednocześnie patronował placowi wokół kościoła Mariackiego.

Aby lepiej ukazać przemiany opisywanej uliczki, zamieściliśmy, obok przedwojennej widokówki, również starą fotografię. Właśnie na niej widać po lewej stronie dość okazały mur, który zwany był przez ówczesnych złotoryjan „chińskim murem". Dopiero po jego rozebraniu ten fragment miasta nabrał zupełnie innego wyglądu.

Warto również wiedzieć, że nazwa „ul.Maluchów" funkcjonuje od 1977 r.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii
Nie tylko potężne budowle

Na fotografii, wykonanej ponad pięćdziesiąt lat temu, widać przede wszystkim trzy niewielkich rozmiarów detale architektoniczne. Dzisiaj już nie są niestety tak czytelne a same otwory zostały zamurowane. Tymczasem są to bardzo ważne i właściwie jedyne w swoim rodzaju zabytki w naszym mieście, związane z niegdysiejszymi wojnami i oblężeniami.

Mamy nadzieje, że te ostatnie słowa odkryły jedynie rąbek tajemnicy. Prosimy o zlokalizowanie przedstawionych obiektów, podanie ich nazwy i określenie funkcji. Chętnie zamieścimy w następnym wydaniu *Echa* współczesną fotografię, wykonaną przez czytelników.

Roman Gorzkowski

Zgłoś kandydata na Człowieka Ziemi Złotoryjskiej!!!

Każdy może zgłosić dowolną liczbę kandydatów, warunek jest tylko jeden - propozycje należy uzasadnić.

Szczegóły na stronach Echa Złotoryi: tmzz.pl.

Na zgłoszenia czekamy do 7 stycznia 2013 r.

Ogłoszenie wyników nastąpi podczas uroczystej gali w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji

24 stycznia 2013 r. o godz. 18.00.

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. KSS S.A. ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl,
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480,
fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT ® "Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

VITBIS
szklane bombki choinkowe

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
płukane
kolorowe
posypki
mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

INŻYNIERIA INKOBUD ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

GALERIA SPONSORÓW

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"), tel.: 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Józef Banaszek, Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Jolanta Zarębska (korekta), Krystyna Zalewska.

Grafika na okładce: Tomasz Kośmider - uzdrowisko i dworzec kolejowy w Jerzmanicach Zdroju (2008).